

Tadeusza Esmana¹ wspomnienia o Bydgoszczy

Pierwszą w życiu pracę zarobkową podjąłem w lutym 1927 roku w Oddziale Archiwum Państwowego Poznańskiego w Poznaniu. Zaproponowano mi porządkowanie zespołu akt Rejencji Bydgoskiej w placówce oddziału poznańskiego w Bydgoszczy. Propozycję przyjąłem z ochotą, także ze względów osobistych, jako że z Bydgoszczy było bliżej do Golubia, gdzie mieszkała moja narzeczona Maryla Nowakowska. Ojciec jej, Ludwik Nowakowski, był od 1923 roku burmistrzem Golubia. Przy końcu lutego 1927 roku przyjechałem do Bydgoszczy. Zamieszkałem w służbowym dwupokojowym mieszkaniu na drugim piętrze w gmachu dzisiejszego archiwum przy ulicy Dworcowej 65. W ciągu pół roku wykonałem nałożone na mnie zadanie i wróciłem do Poznania. Do Bydgoszczy, tym razem już na stałe, przyjechałem w grudniu 1927 roku z nominacją z Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego na prowizorycznego kierownika Oddziału Archiwum Państwowego w Bydgoszczy. Miałem prawie samodzielne stanowisko w archiwum, interesującą pracę, stałe i pewne dochody urzędnika państwowego. Długo trwające studia zakończyłem w 1934 roku egzaminem magisterskim. Zacząłem też zbie-

¹ Tadeusz Esman (1903-1987), historyk, archiwista, od 1927 r. kierownik, a następnie dyrektor Archiwum Państwowego w Bydgoszczy. Lata wojny i okupacji niemieckiej spędził głównie w Bydgoszczy. Był naocznym świadkiem i bystrym obserwatorem wielu wydarzeń w mieście. Po wojnie działacz polityczny związany ze Stronnictwem Demokratycznym. Współorganizator Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Bydgoszczy. Członek założyciel Bydgoskiego Towarzystwa Naukowego oraz członek zarządu i honorowy członek Towarzystwa Miłośników Miasta Bydgoszczy – zob. szerzej biogram pióra J. Kutty zamieszczony w tomie I „Bydgoskiego Słownika Biograficznego”.

rać materiały źródłowe do biografii Ludwika Mierosławskiego, przywódcy Powstania Poznańskiego z 1848 roku i pierwszego dyktatora Powstania Styczniowego. W Archiwum Państwowym w Poznaniu znalazłem nowe, nigdzie nieopublikowane źródła. Wzrosły też moje zainteresowania miejscowym ruchem naukowym. Należałem do założycieli bydgoskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego. Powoli wrastałem w bydgoski grunt społeczny, rezygnując definitywnie z powrotu do Poznania. W 1938 roku otrzymałem Srebrny Krzyż Zasługi, przypuszczalnie głównie za udział w Powstaniu Wielkopolskim. Kilka miesięcy przed wybuchem drugiej wojny światowej kupiłem willę przy ulicy Asnyka 4, dzięki czemu ocalała część substancji majątkowej scedowanej mi przez rodziców.

Do szczęścia w tym momencie brakowało niewiele. To, czego brakowało, dotyczyło przede wszystkim finalizacji planów matrymonialnych. Niestety, szczęście, jak to często w życiu bywa, jest ulotne. Niepokojące wieści zaczęły dochodzić z Poznania. Pogorszyła się znacznie sytuacja materialna moich rodziców. Ojcu coraz bardziej dokuczała astma. W pewnym momencie, schorowany, musiał zrezygnować z wykonywania zawodu i oddać sklep masarski wraz z warsztatem w dzierżawę. Dzierżawca był pełen dobrych chęci, ale nie sprostał zadaniu. Zadłużył się, chorował, przestał płacić czynsz. Trzeba było anulować umowę. Biedni rodzice musieli znowu pracować ponad siły. Zysk był mizerny, niewspółmierny do wysiłku. Nadchodzący kryzys gospodarczy osłabił bowiem siłę nabywczą ludności, spowodował niemal powszechną pauperyzację. Mnożyły się upadłości. W dodatku toczył się wieloletni proces sądowy o zwrot domu na Ostrówku, którzy rodzice kupili w 1918 roku. Koszty sądowe i adwokackie rosły w tysiące i pochłonięły owoc 30-letniej harówki ojca i matki. Zrodziła się obawa, że z moich skromnych poborów będę musiał spłacać długi rodziców. Dopiero w marcu 1931 roku otrzymałem pomyślną wiadomość z Poznania. Spór o własność domu na Ostrówku został definitywnie rozstrzygnięty, po przejściu sprawy przez wszystkie instancje sądowe. Rodzice wygrali! Zagrożona substancja majątkowa, która stanowiła podstawę ich bytowania, ocalała. Pozostał problem deficytowego sklepu rzeźnickiego. Czynsze od lokatorów zalegały od dłuższego czasu, a ciężary podatkowe rosły. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem rokującym nadzieję na trwałą poprawę sytuacji materialnej rodziców była sprzedaż domu i sklepu. Matka wahała się. Próbowwała znaleźć amatora na kupno sklepu. Daremnie! W okresie ostrego kryzysu gospodarczego likwidowano wiele sklepów, nawet lepiej usytuowanych od naszego. Od dalszych zadłużeń i kłopotów ratować mogło tylko wyzbycie się nieruchomości. Realizacja tej koncepcji nie należała wprawdzie do łatwych zadań, ale po kilku miesiącach, bodaj w kwietniu 1932 roku, znalazł się odpowiedni reflektant, który kupił dom za względnie przyzwoitą

cenę. Nabywca był górnikiem z północnej Francji, a administrował jego szwagier. Rodzice moi wyrazili chęć zamieszkiwania w Bydgoszczy. Chcieli być bliżej syna.

Piętnastego września 1932 roku odbył się w Bydgoszczy ślub cywilny. [...] Termin ślubu kościelnego, wyznaczony na dzień 22 września, zbliżał się; a tu nagle pech. Dwa dni przed terminem zachorowałem, wskutek przeziębienia. Gorączka dochodziła do 40 stopni. Matka zaaplikowała mi końską kurację. Pocilem się pod piernatami prawie 24 godziny. Dwukrotnie zmieniano pościel. Potem nasiąkło nawet pierze. Efekt siódmych potów był zadziwiająco skuteczny. Rano, kilka godzin przed rozpoczęciem ceremoniału ślubnego, który odbył się w godzinach popołudniowych, zameldowałem się w Golubiu. Mocno osłabiony, prawie półprzytomny, niewiele zapamiętałem z wydarzeń tego dnia. Fotograf miał ze mną kłopot, bo z trudem utrzymywałem równowagę. Najważniejsze zdjęcie, szczęśliwej młodej pary, było widocznie poruszone. Wiem tylko, że przed ołtarzem płynęły potoki łez, którymi wasza matka żegnała stan paniński. Byłem wzruszony, ale również zażenowany, bo wyglądało tak, jak gdyby młodą parę spotkało wielkie nieszczęście. [...] Wieczorem udaliśmy się w podróż poślubną do modnej Gdyni, która wówczas przypominała bardziej kurort niż miasto portowe. Wynajęliśmy ładny pokój z widokiem na zatokę, w pensjonacie na Kamiennej Górze. Cudne dni. Moja małżonka zobaczyła morze chyba pierwszy raz w życiu. Mimo chłodnej późnowrześniowej aury zamoczyła nogi w słonej morskiej wodzie. W rezultacie nabyła pierwszy małżeński katar.

Po kilku beztróskich dniach wróciliśmy do Bydgoszczy. Nie popasaliśmy tu zbyt długo. Czekał nas wyjazd do Poznania, z programem wizyt poślubnych. Na liście wizytowanych figurowali koledzy z poznańskiego Archiwum Państwowego i krewni. Maryli podobało się serdeczne przyjęcie w domu kustosa dr. Feliksa Pochoreckiego. Przystojny lwowianin czarował nieprzeciętną kulturą towarzyską. Na twarzy charakterystyczna szrama, jak się później dowiedziałem, ślad po nieudanym zamachu samobójczym. W 1945 roku ponowił próbę samobójstwa pod wpływem przeżyć wojennych w okupowanym przez Rosjan i Niemców Lwowie i ostatecznego opuszczenia rodzinnego miasta na zawsze. Tym razem ratunku nie było – zmarł w Krakowie. Bardzo serdecznie witano nas także w domu kustosa Kaletki, który był moim protektorem i ratował mnie kilkakrotnie z opresji. Kolega Adam przekomarzał się ustawicznie ze swoją żoną, ale tak kochające małżeństwo niełatwo spotkać. Tragedię przeżył w 1945 roku, krótko przed wyzwoleniem Poznania. Zbłąkany pocisk armatni urwał jego żonie głowę. Końcowe lata życia były dla niego pasmem udręki. Po wojnie spotkałem go kilkakrotnie, ale nigdy nie zauważyłem uśmiechu na twarzy.

Zakończył się okres oczekiwania na wspólne ognisko domowe. Po trudnych latach Maryla znalazła spokojną przystań, wolną od troski materialnej. Otaczali ją ludzie życzliwi, których serca podbiła dobrocią, żywiołową radością życia i ufnością dziecka. Szczególnie bliskie stosunki towarzyskie łączyły nas w tym czasie z ciocią Stefcią Matecką. Do młodszych kuzuszek należała kuzynka Jadzia, żona Czesława Mateckiego i Irena, żona kuzyna Henryka Kubalego, który odbywał praktykę w służbie weterynaryjnej w Rzeźni Miejskiej. Później miejsce Ireny zajęła Wisia Łączkowska, przyjaciółka Maryli z wczesnych lat młodości. Mąż Wisi pracował w administracji Młynów Bydgoskich.

Troski związane z prowadzeniem gospodarstwa domowego przejęła w znacznej mierze moja matka. Nieocenioną siłą pomocniczą w charakterze gosposi była Wiktosia, którą otrzymałem w „posagu” od teściów. [...] Jej następczyni miała na imię Różia, znacznie młodsza wiekiem, była nabytkiem mniej fortunnym. W godzinie próby, po zajęciu Bydgoszczy przez hitlerowców, wykorzystując naszą nieobecność, skumała się z żołnierzami niemieckimi i ograbiła mieszkanie z wielu cennych przedmiotów. Słyszałem później, że konduktą jej zainteresowała się kripo – niemiecka policja kryminalna. Nie wiem, co się z nią stało, pod koniec 1939 roku słuch o niej zaginął. W skład domowej załogi wchodziła też niańka. Funkcję tę pełniła przed wybuchem wojny 13-letnia dziewczyna Jadzia. [...] Jadzia jest dziś siwą, steraną życiem babcią. Od czasu do czasu spotykam ją w mieście. Przed Jadzią była Lusia, przybrana córka Lücków. Impulsywna, żywiołowa, bardzo lubiła moje dzieci i odwiedzała je często później, kiedy była już dorosłą panną. Mieszkała w domu położonym naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy Grunwaldzkiej. Ładna, niebieskooka brunetka, zdradzała niestety już wcześniej słabość do osobników płci męskiej, szczególnie wyraźną, kiedy osobnicy ci nosili mundur. Przed wybuchem wojny zdobyła serce kaprała, który uchodził za jej narzeczonego. Kapral poszedł na wojnę, dziewczyna, tak jak w piosence, otarła łzy i zaczęła zdobywać serca żołnierzy w innych mundurach. Jej rodzona matka była Niemką i mieszkała w Reichu. Z Lusi zrobiono więc Elizabeth, choć słabo władała językiem niemieckim, bo w domu przybranych rodziców mówiono po polsku. Dziedzictwo krwi germańskiej było wprawdzie niezupełnie wyraźne, ale zwycięzcom to nie przeszkadzało. Świeżo upieczona obywatelka Wielkiej Rzeszy została więc szybko zaangażowana do służby na rzecz zwycięstwa Niemiec hitlerowskich. Pewien czas pełniła podobno jakąś funkcję biurową w obozie dla polskich przesiedleńców w Smukale. W obozie panowały choroby zakaźne, śmiertelność duża. Podobno pomagała i współczuła dzieciom pędzonym nago do zimnej Brdy. Tak próbowała ją usprawiedliwić przybrana matka. Dalsze jej perypetie wojenne trudno prześledzić, bo jako

Funkmädel (radiotelegrafistka) pracowała w formacjach wojskowych, zmieniając często miejsce pobytu. W ostatnich tygodniach wojny zawieruszyła się gdzieś pod Berlinem. Sądzono, że zginęła. Gdzie tam! Wróciła, dla odmiany z żołnierzami rosyjskimi. Wrócił też wierny do grobowej deski adorator. Przebaczył! Ślub odbył się w tempie przyspieszonym. Małżonkowie ulotnili się wkrótce z Bydgoszczy. Młodej pani palił się widocznie grunt pod nogami. Z jej przybranymi rodzicami utrzymywaliśmy w okresie okupacji kontakty osobiste. Ona, Polka z pochodzenia i przekonania. On, chyba Niemiec, ale nietypowy, o lewicowych poglądach. Po polsku mówił płynnie, ale rzadko odzywał się. Hitlerowcy potraktowali go jako renegata i wpisali do czwartej, ostatniej grupy narodowościowej. Rudolf Lück znał się na wszystkim, między innymi uprawiał ślusarkę. W 1945 roku polskie władze bezpieczeństwa skorzystały z jego pomocy przy otwieraniu kas pancernych w bydgoskim oddziale Banku Rzeszy Niemieckiej. Widocznie miał jakieś skrupuły, bo podejmując się tego zadania, przyszedł zalegalizować czynności w Komitecie Ochrony Mienia Państwowego i Kulturalnego, któremu przewodniczyłem. Dom, w którym mieszkali, należał do Niemca, sąsiedzi byli też Niemcami. Lückowa miała okazję obserwować ich zachowanie w okresie dywersji niemieckiej we wrześniu 1939 roku. Byłaby kapitalnym świadkiem, ale nie skorzystałem z jej zeznań z obawy, że w śledztwie zostanie wplątana również jej przybrana córka, którą nadal kochała. [...]

Kiedy zaczęła się znajomość z Lückiem, mieszkaliśmy przy ulicy Grunwaldzkiej 5. Mieszkania zmienialiśmy przed wojną trzykrotnie: róg Sienkiewicza i Kwiatowej opuściliśmy już po kilku miesiącach. Wystraszyła nas inwazja karaluchów sprzymierzonych z francuzami. Lokum to posiadało zresztą od początku charakter prowizorium, a bliska perspektywa powiększenia się rodu Esmanów nagliła do pośpiechu. Następne, sześciopokojowe mieszkanie mieściło się na pierwszym piętrze domu narożnikowego u zbiegu ulicy Królowej Jadwigi i Łokietka. Wielka landara, największy pokój zajmował powierzchnię ponad 40 metrów kwadratowych, inne w granicach od 30 do 40 metrów. Wysokość prawie cztery metry. Na sufitach sztukateria, piece duże z ozdóbkami w stylu secesyjnym. W sumie reprezentacyjnie, ale mało przytulne ognisko domowe. Odstraszał głównie wysoki czynsz, który pochłaniał prawie połowę moich poborów. Do plusów zaliczyć można zajęczy skok do miejsca pracy (3 minuty drogi). Z mieszkaniem przy ulicy Królowej Jadwigi związane są dwa wydarzenia w życiu rodzinnym. Czwartego listopada 1933 roku urodziło się tu pierwsze dziecko młodych Esmanów – Ewa Krystyna. Ukoronowaniem 17-godzinnej męki porodowej była wielka radość. W mieszkaniu huczało jak w ulu. Mój biedny ojciec żalił się: „te baby nie

dadzą chłopcu spać”. Marzył o wnuku i trudno było burzyć jego przekonanie. Trzydzieści dni później, 17 listopada ojciec oddał ostatnie tchnienie. Był cichy i chyba nigdy nie podnosił głosu. Odszedł też prawie niezauważalnie. [...] Pogrzeb odbył się w Poznaniu. Ciało spoczęło w grobowcu rodzinnym na cmentarzu Marii Magdaleny, który dziś już nie istnieje. Po wojnie jego zwłoki oraz zwłoki innych członków rodziny Esmanów zostały przeniesione na cmentarz w Miłostowie. [...]

Trzeźwa kalkulacja budżetowa zmusiła nas w 1935 roku do zmiany miejsca zamieszkania. Nowe domicillum mieściło się w budynku przy ulicy Grunwaldzkiej 5. W skład jego wchodziły cztery duże pokoje z obszerną werandą oraz pokój służbowy. Czynsz dzierżawny, czyli tak zwane komorne, odpowiadał mniej więcej moim możliwościom zarobkowym. Trochę niefortunne było parterowe położenie nowego mieszkania. Naszą sypialnię ulokowaliśmy w pokoju z widokiem na ulicę, która stanowiła znaczącą arterię komunikacyjną w kierunku Nakła i Koronowa. Ruch może nie taki jak w śródmieściu, zwłaszcza na ulicy Gdańskiej, ale latem, kiedy pól Bydgoszczy waliło na dworzec popularnej kolejki powiatowej, było barwniej i gwarniej niż dziś. Wielkomiejskość imitował tramwaj czerwonej linii „A”, o archaicznym wyglądzie. Kursował od Dworca Głównego do wspomnianego już Małego Dworca ciuchci powiatowej na Okolu. Z okien naszej sypialni można było prowadzić studium ruchu ulicznego. Przed oknem stała latarnia gazowa, dostarczająca nam gratisowo dodatkowego oświetlenia, chociaż nie zawsze pożądanego. Latarnia spełniała też czasami funkcję kotwicy ratunkowej dla pijaków. [...] Innego rodzaju widoki odsłaniały okna od strony zachodniej. Można z nich było oglądać część promenady nad starym kanałem i podziwiać kwiaty w dobrze utrzymanym ogródku przydomowym. Mnóstwo zieleni, ptaki, motyle, pszczoły – słowem nastroje sielskie. Tu w warunkach prawie idyllicznych przeżyliśmy ponad cztery najpomyślniejsze lata naszego życia małżeńskiego.

Korzystnie w tym czasie kształtowała się nasza sytuacja materialna. Moje pobory i odsetki uzyskane po sprzedaży domu w Poznaniu wystarczały na pokrycie wydatków w granicy około 750 złotych miesięcznie. Załoga domowego okrętu była wprawdzie dość liczna, bo gościł u nas dłuższy czas teść z najmłodszym synem Jurkiem, ale rezygnując z luksusów i prowadzenia domu otwartego z suto zastawionym stołem dla licznych gości, można było żyć bez większych kłopotów do następnego pierwszego. [...] Niskie ceny produktów żywnościowych ułatwiały prowadzenie gospodarstwa domowego, mimo nieprzeciętnej konsumpcji i wydelikaczonego, przedwojennego podniebienia. [...] Przed wojną znacznie droższe były artykuły typu przemysłowego, szczególnie towary importowane. W 1937 roku zapłaciłem za niemiecki aparat radiowy

Telefunken 360 złotych. Kwota ta przekraczała wysokość moich poborów miesięcznych. W następnym roku nabyłem za pośrednictwem komiwojażera 10-tomowe dzieło *Propylaen Weltgeschichte* za niebagatelna cenę 920 złotych, płatną w 24 ratach. Płacenie rat stawało się coraz bardziej uciążliwe, tym bardziej że moja małżonka zaczynała patrzeć kosym okiem na tego rodzaju uszczuplanie budżetu domowego. Spłata ostatnich dwóch rat po wybuchu wojny zawisła nade mną niczym miecz Demoklesa. Niemieccy wierzyciele ściągali bowiem polskie długi z całą surowością prawa, natomiast zobowiązania pieniężne Niemców w stosunku do Polaków przestały obowiązywać. Na szczęście zainteresowana firma z Reichu o mnie jakoś zapomniała, w chwili kiedy materialna sytuacja polskiej rodziny kształtowała się bardzo źle.

Przed wojną panował w gospodarce domowej – i nie tylko domowej – wszechmocny kredyt, a weksle wypierały obroty gotówkowe. Na raty można było kupić prawie wszystko. Kupiec otwierał chętnie kredyt solidnemu klientowi. Również nasz sklepikarz z przeciwka składał nam kilkakrotnie ofertę. Sklepikarzem był Niemiec Paul Steinke. Z oferty korzystaliśmy rzadko. Świadomość istnienia długu zatruwała mi życie. Steinke uchodził za porządnego Niemca. Byłem zdziwiony, kiedy krótko przed wybuchem wojny aresztowano go pod zarzutem wykupu bilonu, który istotnie znikł z obrotu handlowego. W okresie okupacji, o ile mi wiadomo, nie próbował zdyskontować swego „męczeństwa” na własną korzyść. W stosunku do mnie zachowywał się przyzwoicie, popierając podanie o zwrot skonfiskowanych mebli.

Tu drobna dygresja. Moje kilkakrotne wzmianki o Niemcach mieszkających w pobliżu mogłyby sugerować istnienie dużego zagęszczenia elementu niemieckiego w Bydgoszczy. Według urzędowej statystyki polskiej z 1938 roku, mniejszość niemiecka była tu reprezentowana w ośmiu procentach, co stanowiło około 10 tys. mieszkańców. Natomiast procentowy udział Niemców w przemyśle, handlu i niektórych branżach rzemiosła był znacznie większy. Ilustracją ich potencjału ekonomicznego niech będzie fakt, że większość domów przy ulicy Grunwaldzkiej, na odcinku od kanału do starego cmentarza, znajdowała się w rękach Niemców. Lokatorzy byli natomiast przeważnie Polakami. W naszym domu mieszkało tylko dwóch „wątpliwych”. W suterenie mieszkał stary Fuchs, rodem z Łodzi, który zdaje się nie wiedział do jakiej nacji należy. Niegdyś podobno człek bogaty, zbiedniał u schyłku życia. [...] Drugim „podejrzany” był sąsiad Gustawa Fuchsa, Miliński. Z pochodzenia Polak, ale ożeniony z Niemką, osobą brzydką, kulejącą – uległ jej całkowicie. Mówiono, że w wyborach do rady miejskiej głosował na niemieckiego kandydata. Idylla małżeńska zakończyła się wkrótce bardzo smutnie. On, dobrze zarabiający technik; wysoki, przystojny, przeziębził się, zachorował na zapale-

nie płuc i po kilku dniach już nie żył. Byłem na pogrzebie. Chował go rodzony brat, ksiądz zakonu franciszkanów w Poznaniu. Może to tylko przypadek, ale zakon ten cieszył się szczególnie dużą sympatią niemieckich katolików. Młoda wdowa pocieszyła się szybko i kilka tygodni po wybuchu wojny poszła w świat za niemieckim żołnierzem. Z innymi lokatorami mieliśmy poprawne stosunki sąsiedzkie, ale do serdeczniejszego zbliżenia nie doszło.

W opisanych warunkach mieszkaniowych i materialnych kształtowało się nasze życie codzienne. [...] Ognisko domowe bywało jednak czasem nieco nudnawe, istniała więc potrzeba szukania rozrywek poza domem. Co najmniej raz na tydzień uczestniczyliśmy w seansie filmowym; przeważnie w Marysieńce. Do teatru chodziło się stosunkowo rzadko. Z poziomem bydgoskiej sceny bywało różnie. Pamiętam gościnne występy mistrza Ludwika Solskiego, który w roli Fryderyka Wielkiego nie mógł znaleźć wspólnego języka z resztą zespołu – i zawiódł oczekiwanie. Frekwencję w teatrze ograniczał też przedwojenny *savoir vivre*, który wymagał od widowni strojów wieczorowych. Na premierach panie prezentowały kreacje prawie balowe, a panowie najczęściej smokingi, czasem nawet fraki. Do kina wchodził każdy, tak jak chciał i kiedy chciał, a więc w czasie wyświetlania filmu. W większości kin bilet wstępu uprawniał do uczestnictwa w kilku kolejnych seansach. Przeciętnej rodzinie, średnio zamożnej, dużo czasu zabierało kultywowanie życia towarzyskiego. Telewizji wówczas jeszcze nie było, a radio zaczęło się dopiero powoli zadawiać. Ludziom mego pokolenia imponowały bale śmietanki towarzyskiej – dziennikarzy, prawników, lekarzy itp., gdzie królował snobizm. Na tego rodzaju balach nie bywałem, raziła kastowość, śmieszyły niedopasowane fraki i cylindry. Znacznie swobodniej czuliśmy się na zabawach mniej eksponowanych, zwłaszcza na wentach, których dochód przeznaczano na cele dobroczynne. [...]

W latach, kiedy nie groziła ciąża, spędzaliśmy urlopy wypoczynkowe poza Bydgoszczą. Wczasów związkowych przed wojną, o ile dobrze pamiętam, nie organizowano. Odwieczne powiedzenie – „Pieniądz rządzi światem” – było wówczas najbardziej sprawdzalne. Wyjeżdżał ten, kto mógł sobie na to pozwolić. O miejscu wypoczynku decydowała stopa życiowa i gust urlopowicza. Nam odpowiadało najbardziej to, co nazywamy dziś wczasami pod gruszą. Wszystko, co pierwsze, pamięta się najlepiej. Pierwszy wspólny urlop spędziliśmy w 1934 roku w domu dziadków Nowakowskich w Golubiu. Teściowa była wyjątkowo serdeczna. Może dlatego, że przywieźliśmy naszą pierworodną, która z miejsca zawojowała serca krewnych i znajomych. W następnych latach zwiedzaliśmy inne zakątki ówczesnego województwa pomorskiego. Szczególnie atrakcyjna, pod względem krajoznawczym, była penetracja

północnej części powiatu chojnickiego. Po raz pierwszy zetknęliśmy się z folklorem i gwarą południowej Kaszubszczyzny. Nasza główna kwatery mieściła się w domu wiejskiego nauczyciela w Kiedrowicach, nad dużym jeziorem. Ryb różnych gatunków, częściowo nam nieznanymi, najedliśmy się jak nigdy w życiu. Pod względem kulinarnym znacznie mniej atrakcyjny był pobyt w pobliskim Trzszczyńcu. Nasz gospodarz Strohschein, właściciel kilku mórg piaszczystego gruntu i bezrobotnego szwagra w Bydgoszczy, niewiele mógł nam ofiarować. Szwagier, nieprzeciętny kombinator, próbował mnie zainteresować hodowlą ryb. Chyba głównie dzięki wspólnym marzeniom o stawach hodowlanych nie zwinęliśmy manatek od razu. Pogoda sprzyjała, więc usiłowałem nawiązać kontakt z moimi podopiecznymi, czyli rybami, za pośrednictwem wędki. Chęci były jednak zbyt jednostronne, ryby zignorowały ofiarowane im smakołyki na haczyku. Po kilku dniach łowienia pokusie uległa tylko jedna płotka; pierwsza i ostatnia w moim życiu. [...] Stawy trzszczyńskie okazały się fata morgana, ale w moim życiorysie trzeba odnotować, że w Trzszczyńcu zrodziła się żyłka do poszukiwań typu archeologicznego. Kilka tygodni po powrocie do Bydgoszczy otrzymałem od Strohscheina wiadomość, że znalazł jakieś stare garnki. Udałem się tam w towarzystwie znajomego, późniejszego serdecznego przyjaciela, Tadzia Wieczorowskiego. Archeolog (prahistoryk), uczeń znanego profesora Józefa Kostrzewskiego z Poznania, przewodził ekipie, do której doszłusował przyjaciel, nie mniej serdeczny, archiwista Leon Siuchiński. Na małej wysepce, otoczonej nurtem Brdy, odkryliśmy dobrze zachowany grób skrzynkowy, prawdopodobnie z okresu wędrowności ludów. Nawiązałem też kontakt z magistrem Delektą, konserwatorem Urzędu Wojewódzkiego w Toruniu. Wspólnie z nim odwiedzałem Trzszczyń i teren wykopaliskowy w Pawłówku pod Bydgoszczą. W okresie wakacji zaglądaliśmy też do Poznania. Do rodzinnego miasta przyłgnęło serce [...]. Pobyt nie trwał jednak długo, brakowało wygodnych kwatery dla dwóch osób. Zdarzały się też podróże w pojedynkę, ale niezbyt częste, bo stanowiliśmy parę nierozłączną. Najdłużej, prawie dwa miesiące, przebywaliśmy z dziećmi w Opławcu nad Brdą, [...] zajmowaliśmy duży pokój z obszerną werandą. W programie: zbieranie jagód i grzybów oraz kąpiel. Dzieci bawiły się na piaszczystej plaży, wówczas nieźle zlokalizowanej i zagospodarowanej. Istniała tam też dobrze prosperująca restauracja. Obiady i kolacje jedliśmy jednak prawie z reguły w domu. Gotowała wasza mama, babcia pozostała w Bydgoszczy. Pobyt urozmaicały liczne wizyty, nie tylko krewnych i znajomych z Bydgoszczy. [...] Kiedy skończył się mój urlop wypoczynkowy, dojeżdżałem do pracy bydgoską ciuchcią, czyli kolejką wąskotorową. W połowie sierpnia 1939 roku opuszczaliśmy Opławiec z żalem. Wojna wisiała na włosku.

Przed wojną droga wzdłuż kanału stanowiła ulubioną aleję spacerową dla wielu bydgoszczan. Zmęczonych i spragnionych wchłaniały restauracje ogródkowe. Amatorów sportu kręglarskiego wabiły dobrze prosperujące kręgielnie. Pewien czas, w okresie dobrej koniunktury, istniała też wypożyczalnia łodzi. Trochę dalej, po drugiej stronie kanału, za kościołem, wówczas ewangelickim, w pobliżu stawów rybnych i ośrodka tresury psów, płynął wąski strumyk. Dzieci brodziły w nim z upodobaniem. Czasem, głównie w dni świąteczne, wędrowaliśmy do Rynkowa. Znajdowała się tam duża gospoda – miejsce wypoczynku na świeżym powietrzu dla zmęczonych mieszczuchów z Bydgoszczy. [...]

Przyjemne wspomnienia wiążą się też z podróżami parostatkiem do Brdyujścia. Na gości czekały dwie dobrze wyposażone gospody, z huśtawkami dla dzieci. Przy dobrej kawie lub piwie spędzaliśmy niezapomniane godziny beztroskiej radości życia w gronie rodzinnym. Większość tych restauracji, gospód i knajpek w Bydgoszczy, Smukale, Brdyujściu, Rynkowie funkcjonowała jeszcze kilka lat po wojnie. Niestety, później zniknęły, i to chyba bezpowrotnie. Szkoda, Bydgoszcz była ładnym miastem: czystym, zadbanym, dobrze zarządzanym. Poczciwe stare kąty zapadły się w mrokach przeszłości. We wspomnieniach pozostały tylko okruchy przeżyć, które usiłuję zebrać, aby odtworzyć obraz tego, co kiedyś żyło i było miłe. [...]

Siedem lat żyliśmy dla siebie, w znacznej izolacji od życia publicznego i politycznego. Tymczasem na Zachodzie zbierały się ciężkie chmury. Z radiowego odbiornika na falach krótkich płynęło rozpaczliwe hasło hiszpańskiego frontu ludowego: no pasaran! Potem tragedia Austrii i Czechosłowacji. Sprawy przykre i niepokojące, ale pozornie dalekie. Kurczowo trzymałem się starej dewizy: „Całemu światu niech grozi wojna, byle polska wieś spokojna”. Jeszcze na przełomie 1938/1939 roku należałem do optymistów. Niepokoić zacząłem się w miarę narastania konfliktu polsko-niemieckiego. W połowie 1939 roku uczestniczyłem kilkakrotnie w tajnych naradach przedstawicieli władz i urzędów, na których omawiano plany mobilizacyjne i ewakuacyjne. Z planów tych wynikało, że Bydgoszcz może stać się terenem walki w trzecim lub piątym dniu wojny. Pierwszy dzień wojny był równocześnie pierwszym dniem ewakuacji. Spodziewano się, że pochód wroga w głąb kraju zostanie zatrzymany na linii Wisły. Otrzymałem rozkaz ewakuowania cenniejszych akt Oddziału Archiwum Poznańskiego w Bydgoszczy do Łucka na Wołyniu, w trzecim dniu wojny.

Zakończył się pomyślny rozdział nie tylko w życiu mojego małżeństwa, ale i w życiu całego narodu. To, co nastąpiło, należy jak gdyby do innej epoki. [...]

Trudne lata

Rok 1939 wydawał się pod względem gospodarczym niezwykle korzystny dla Polski. Przeciętny człowiek w tych czasach oceniał gospodarkę według tego, co widział na polach, a zbiory zapowiadały się rekordowe. Kiedy jednak w połowie sierpnia w drodze powrotnej z Poznania oglądałem rosnące stogi zboża, mimo woli zadawałem sobie pytanie – dla kogo to ziarno, dla kogo trud i mozół polskiego chłopca? Wojna wisiała na włosku. Kampania antypolska w wystąpieniach Führera i jego paladynów dochodziła do szczytu. Od kilku dni z radiostacji niemieckiej przemawiał do Polaków specjalnie dobrany spiker [...]. Mnożyły się prowokacyjne incydenty graniczne. Kampania ta przypominała żywcem sytuację w przededniu rozbioru Czechosłowacji jesienią 1938 roku i marcu 1939 roku. Należałem do tych, którzy wyzbyli się złudzeń. Wybuch wojny traktowałem jako zło nieuchronne. Pozostało tylko pytanie, kiedy? Datę można było w przybliżeniu ustalić, nie będąc nawet wtajemniczonym w arkana strategii wojennej. Należało uwzględnić w kalkulacji przede wszystkim miesiące letnie, do połowy września włącznie. Użycie lotnictwa i ciężkiej broni pancernej limitowały: czas, polskie niebo i polskie drogi.

Nie chciałem narażać moich najbliższych na niebezpieczeństwa grożące miejscowościom położonym na trasie pochodu wojska niemieckiego. Sądziłem, że zapewnię im spokojny kąt w domu mego szwagra Tadeusza Nowakowskiego, który mieszkał w Siedlcach, około 90 kilometrów na wschód od Warszawy. Skontaktowałem się z nim i zaawizowałem przyjazd jego siostry z dziećmi. Po ogłoszeniu powszechnej mobilizacji odprowadziłem moją kochaną gromadkę na dworzec. Na peronie duży ruch, ale paniki nie widziałem. W przedziale znalazły się jeszcze miejsca siedzące. Miałem nadzieję, że zobaczymy się wkrótce. Perspektywa dotarcia do Siedlec z Warszawy lub Łucka rysowała się więc zupełnie realnie. Mimo usilnego starania zachowania pozorów optymizmu, patrzyłem za znikającym pociągiem z ciężkim sercem. Każda wojna stanowi niewiadomą – życie ludzkie staje się tańsze, mniej wartościowe. Czy moja żona, wątła, psychicznie mało odporna, podoła trudnościom samodzielnego życia w obcym środowisku? Nie wiedziałem, że od wybuchu najstraszliwszego kataklizmu wojennego w dziejach ludzkości dzieliły nas zaledwie godziny.

Powszechną mobilizację ogłoszono 31 sierpnia i z miejsca zaczął się chaos. Kiedy rankiem 1 września udałem się do Kasy Skarbowej po odbiór poborów, zastałem urząd spakowany. Urzędnicy gdzieś zniknęli, a biurka były puste. Kasjer spoglądał nerwowo na zegarek, robiąc końcowe obliczenia. Na pytanie, co się stało? – odpowiedział, że otrzymał rozkaz natychmiastowej

ewakuacji. Wyraziłem zdziwienie, że ewakuacja następuje już w pierwszym dniu wojny, zamiast w planowanym piątym dniu od jej wybuchu. Okazało się, że pierwotne ustalenia zostały zmienione prawie w ostatniej chwili. Daremnie próbowałem odszukać komisarza ewakuacyjnego mgr. Leonarda Rosta, aby upewnić się, czy termin ewakuacji mego Archiwum obowiązuje nadal. Rost był jednak nieuchwytny, a nieliczni urzędnicy przemykający się po korytarzach wydawali się traktować mnie jako natręta przeszkadzającego im w załatwieniu ostatnich, pilnych spraw. Korytarze Kasy Skarbowej były zapchane skrzyniami, a w holu dyskutowała żywo grupa policjantów, która otoczyła dwóch przybyszów. Dowiedziałem się, że byli to dwaj uciekinierzy, którzy przynieśli wieść o zajęciu przez Niemców – oddalonego o 70 kilometrów od Bydgoszczy – Sępólna Krajeńskiego. W nocy z 1 na 2 września wkroczyły do Bydgoszczy pierwsze karawany uchodźców. Mieszkałem wtedy przy głównej arterii komunikacyjnej miasta – zbiegu ulicy Grunwaldzkiej i Nakielskiej. Gwar ludzki, turkot pojazdów, ryk bydła i dręcząca myśl, co stanie się z tajnymi aktami archiwalnymi, które w żadnym wypadku nie powinny dostać się do rąk niemieckich. Rano 2 września, po nieprzespanej nocy, czekało mnie nerwowe poszukiwanie rozwiązania problemu wywozu z Bydgoszczy akt archiwalnych. Przyznam, że byłem rozgoryczony, zdany tylko na siebie. Nie tak miała wyglądać ewakuacja – coś zaczynało zgrzytać w zdawało się precyzyjnej maszynie administracyjnej. W międzyczasie odbyło się kilka alarmów lotniczych i chyba dwa bombardowania miasta. Szczególnie przykry był widok platform samochodowych załadowanych rannymi lub zabitymi. Krew ciekła przez szpary na bruk. W mieście panowała psychoza wojny gazowej. Kto mógł, zaopatrzył się w maskę, ale znaczna część bydgoszczan posiadała tylko zwykłe tampony. Widok sprzedawców w maskach przeciwgazowych i klienta z tamponem w nosie – tak charakterystyczny w I wojnie światowej – nie powtórzył się tym razem. W przeciwieństwie bowiem do poprzedniej wojny, wojujące strony nie stosowały gazu jako broni chemicznej. Zmorą stało się natomiast, potęgujące się z dnia na dzień, przeraźliwe wycie syren. Wycie poprzedzane było stereotypowym ostrzeżeniem: „Uwaga, uwaga nadchodzi”, z zaszyfrowanym kodem cyfrowym na końcu. Jednak nie to było najgorsze. Głównym źródłem mych niepokojów stawały się symptomy rosnącej dezorganizacji, która groziła fiaskiem planów ewakuacyjnych. Wieczorem 2 września poszedłem do znajomych i zastałem ich spakowanych – auto czekało na ulicy. Pan domu „wisiał” przy słuchawce telefonu i co chwilę łączył się ze starostwem. Wreszcie, około 11 wieczorem zakomunikował mi: „Pan starosta Suski właśnie wyjeżdża”. Rodzina chwyciła kuferki i pobiegła do auta. Później dowiedziałem się, że w ślad za limuzyną starosty ruszyła kolumna aut zamoż-

niejszych obywateli miasta. Ta drobna migawka charakteryzuje mentalność miejscowych notabli. Dla mnie to nowa konsternacja. O ile mi było wiadomo, „pan dygnitarz w meloniku” miał wyjechać ostatni. Konsternacja ta dodała mi jednak energii. Udało mi się ustalić adres prywatny sekretarza komisarza ewakuacyjnego – pana Franciszka Dukata. Po północy wyciągnąłem go z łóżka i przeprowadziłem z nim szczerą rozmowę dotyczącą wywozu akt na Wołyń. Zapytałem go, czy mogę liczyć na pomoc w zorganizowaniu transportu w ramach ewakuacji. Rozłożył bezradnie ręce – Pan widzi, cały transport unieruchomiony, a plany ewakuacyjne nieaktualne. – Więc nie będzie wagonu kolejowego? – pytam. – Nie. – Co mam robić? – Niech pan postara się sam coś załatwić. – Wobec tego proszę o jakiś papierek urzędowy, który mnie upoważni do działania w tym kierunku. Bez słowa podał mi plik blankietów urzędowych z gotowymi podpisami. Był to mój ostatni kontakt z władzami administracyjnymi miasta.

Rankiem 3 września fala uciekinierów osiągnęła punkt kulminacyjny. Ulicami ciągnęły już nie tylko pojazdy cywilne, ale i wojskowe. Rozpoczął się ogólny odwrót. Słysząc też było coraz wyraźniej odgłosy salw armatnich. Nad południową częścią miasta krążyły samoloty i bombardowały drogi odwrotu. Ktoś ważny przyniósł mi wiadomość o wyjeździe z miasta prezydenta Barci-szewskiego. Około 8 rano wiadomość o odjeździe prezydenta potwierdził woźny archiwalny Antoni Błaszowski, który widział moment jego pożegnania. Dalsze godziny spędziłem w Archiwum Państwowym przy ulicy Dworcowej 65. Właśnie wynosiliśmy z Archiwum skrzynie z aktami, kiedy zaskoczył nas alarm lotniczy. Udałem się do schronu, gdzie zastałem dwie polskie rodziny z sąsiedztwa i starą, nieznaną mi Niemkę. Od zewnątrz dochodziły odgłosy turkotu wozów wojskowych. Kolumny wojsk przecinały ulicę Dworcową w kierunku mostu Królowej Jadwigi. Nagle wzmógł się jak gdyby ostrzał ogniowy. Łoskot strzałów karabinowych mieszał się z terkotem broni maszynowej. Przejeżdżał właśnie oddział ułanów. Konie pędziły jak szalone wzdłuż ulicy Dworcowej, ślizgały się na bruku, niektóre padały. Pierwszą myślą po opanowaniu przerażenia było przypuszczenie, że Niemcy wkraczą do miasta. Strzelanina trwała kilka minut, potem ucichła. Słysząc było natomiast huk strzałów dobiegających z innych rejonów miasta. Mimo ciszy pozostaliśmy na miejscu, oczekując dalszego rozwoju wypadków. Po pewnym czasie zbudził nas z odrętwienia stukot podbitych butów. Ktoś zbliżał się do drzwi schronu. Spodziewaliśmy się pierwszego Niemca. Znowu chwila strachu, a potem głęboki oddech ulgi. W drzwiach ukazał się jeden z naszych woźnych, który spieszył się do pracy. Przyniósł nam wiadomość o wybuchu powstania miejscowych Niemców. Sam widział, jak na Czyżkówku areszto-

wano dywersantów. Około 10 rano rozpoczął się dramat historyczny, nazwany przez Niemców „bydgoską krwawą niedzielą”.

Rozpatrując jej dzieje, trzeba szukać odpowiedzi na wiele pytań. Dlaczego dywersję zorganizowano właśnie w Bydgoszczy – zwanej żartobliwie „Klein Berlin”? To prawie czysto polskie miasto przed rozbiorem, po 1772 roku uległo bardzo intensywnej germanizacji w czasie trwania rządów pruskich. W 1910 roku mieszkało tu już około 80 procent Niemców. Były wprawdzie niektóre przedmieścia, które posiadały znacznie wyższy odsetek Polaków, jak Szwederowo, ale stanowiły one odrębne gminy. W roku 1939 na 141 tysięcy mieszkańców przypadało 10 tysięcy Niemców, czyli niespełna 8 procent, a więc niewielki odsetek ludności. A jednak mit o jego niemieckości był troskliwie kultywowany w kraju i za granicą. W Bydgoszczy miał siedzibę Deutschtumsbund, tworzący jak gdyby państwo w państwie i ogarniający wpływami duże połacie kraju. Tu, po rozwiązaniu Deutschtumsbundu, kontynuowało działalność w nieco mniejszym zakresie niemieckie biuro sejmowe. Tu znajdowała się kierownicza placówka Deutsche Vereinigung – wpływowej partii politycznej. Tu pobudowano siedzibę rozgałęzionej sieci szkolnictwa niemieckiego. Tu reprezentowało interesy niemieckie kilku zamożnych przemysłowców – właścicieli fabryk. Obok tradycji, decydujące znaczenie posiadało jednak położenie miasta, w niewielkiej odległości od granicy niemieckiej, na szlaku, który stanowił jedną z głównych linii przypuszczalnego odwrotu wojska polskiego. A więc cel militarny dywersji, obok propagandowego? Odpowiedź na to pytanie jest wciąż dyskusyjna. Cele czysto militarne wydają się wątpliwe, sprzeczne z poprzedzającymi wybuch wojny ruchami wojsk niemieckich. Główne uderzenie wojsk pancernych generała Heinza Guderiana skierowane było na odcinek linii obrony na północ od Koronowa. O skuteczności uderzenia i szybkości ruchów wojsk niemieckich świadczy fakt, że już 2 września oddziały pancerne osiągnęły Wisłę w okolicach Świecia. Natomiast zastanawiać musi ślamazarność ruchów wojsk skierowanych bezpośrednio przeciwko Bydgoszczy. Wojska te składały się z samodzielnej grupy operacyjnej „Netze” (Noteć) i części 50. dywizji piechoty. Zadanie tych wojsk było jednak trudniejsze, bo odcinka broniła 15. dywizja złożona z pułku bydgoskiego i inowrocławskiego. Dywizja ta, w przeciwieństwie do 9. dywizji, w skład której wchodził dość duży odsetek Ukraińców, utrzymała linię obrony i zadała nieprzyjacielowi poważne straty. Niemniej bardzo symptomatyczna jest ostrożność, z jaką posuwały się naprzód oddziały niemieckie na tym odcinku, nawet po zarządzeniu już ogólnego odwrotu przez polskie naczelne dowództwo. Nie liczono się więc, prawdopodobnie, z potrzebą niesienia pomocy powstańcom niemieckim, bez której opanowanie miasta stało się iluzoryczne. Dywersja

mogła więc spełnić tylko pośrednie cele militarne, wstrząsając morale cofających się oddziałów polskich. Ten ograniczony cel został też częściowo osiągnięty. Podam przykład: 3 września – po godzinie 22 udałem się na dworzec do ostatniego pociągu ewakuacyjnego, który miał opuścić Bydgoszcz. Dodam, że w końcu udało mi się wyprosić wagon kolejowy do przetransportowania akt. Przed dworcem zatrzymał mnie oddział wojska, którym dowodził młody podporucznik z obandażowaną głową i ręką na temblaku. W lewej ręce trzymał rewolwer i groził żołnierzom natychmiastowym rozstrzelaniem za ślamazarne wykonywanie rozkazów. Na pytanie – dlaczego to robi? – odpowiedział mi, że część żołnierzy uległa do tego stopnia panice, że tylko terrorem można ich zmusić do posłuszeństwa. To nie była oczywiście reguła, a cofające się oddziały opanowały szybko chwilowy bałagan i utworzyły na południe od miasta, w okolicy Brzozy, nowe linie obronne.

Kilka oddziałów otrzymało zadanie oczyszczenia miasta z dywersantów. Rozpoczęła się uporczywa walka uliczna ze skrytobójczym wrogiem – ukrytym w prywatnych domach, wieżach kościelnych, a nawet w gmachach publicznych. Sam, stojąc przed gmachem Archiwum Państwowego przy ulicy Dworcowej 65, zostałem ostrzelany z okna sąsiedniej dyrekcji kolejowej. Walka była trudna, ale uwieńczona sukcesem. Do późnego popołudnia zlikwidowano większość gniazd dywersji. Ten pomyślny wynik należy zawdzięczać pomocy, jakiej udzieliła wojsku ludność cywilna. Pomoc ta w pierwszej fazie tłumienia dywersji ograniczała się do wskazywania domów i okien, skąd padały strzały i asysty przy rewizjach mieszkań osób podejrzanych. Później zaczęły się formować samorzutnie oddziały ochotników, które brały udział z bronią w rękę w tłumieniu dywersji. W skład tych oddziałów wchodził funkcjonariusze Ligi Obrony Powietrznej, harcerze i powstańcy wielkopolscy. Widziałem też kilku policjantów. Szczególnie licznie byli reprezentowani kolejarze. Zaplanowany transport archiwaliów z gmachu Archiwum na dworzec kolejowy organizowałem w godzinach południowych – już w gęstej strzelaninie. Po długich targach udało się nabyć „dychawiczną szkapę” i sfatygowany wóz. Zdziwienie ogarnęło mnie, kiedy wracając do Archiwum, dumny, z nowymi nabytkami, zastałem przed gmachem wóz spedytora, któremu zlecono przewóz akt na dworzec. Woźnica stawił się punktualnie, tak jak przewidywało zarządzenie ewakuacyjne. Podziwiałem odwagę tego nieznanego mi człowieka. Wśród huraganowego ognia dywersantów, którzy usiłowali przeszkodzić ewakuacji, nie stracił zimnej krwi i przewiózł skrzynie z aktami na dworzec bez szwanku. Na rampie kolejowej leżało kilkanaście zwłok osób zabitych w czasie bombardowania dworca. W słońcu unosiły się nad nimi roje much. W późnych godzinach wieczornych, po wielu przygodach na granicy

życia i śmierci, znalazłem się z moją matką w holu dworcowym. Młody porucznik prosił mnie o przekazanie kierownikowi ruchu wiadomości, że straż tylna jego formacji, osłaniająca dworzec od strony północno-zachodniej, wycofuje się. Po północy podstawiono pociąg ewakuacyjny. Bezpośrednim świadkiem wydarzeń, określanych później „krwawą niedzielą”, byłem do godziny drugiej w nocy dnia 4 września, kiedy to ostatni pociąg ewakuacyjny opuścił Bydgoszcz. Pozostałe opisy tragicznych wydarzeń, po 3 września, znam z innych źródeł; przede wszystkim dokumentów niemieckich i późniejszych relacji polskich świadków. Z dokumentami tymi stykałem się z racji badań nad dziejami Bydgoszczy w czasie okupacji niemieckiej. Wiele informacji zawdzięczam także działalności w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. [...]

Dnia następnego, 4 września, utworzono straż obywatelską, która utrzymywała porządek w mieście i likwidowała resztę gniazd oporu. Część uzbrojonych polskich oddziałów rozgrzanych walką stawiała nawet opór wkraczającej do Bydgoszczy armii niemieckiej. Bydgoszcz, według relacji niemieckiej, została zdobyta dnia 5 września, po krwawych walkach ulicznych. Cel militarny dywersji nie został osiągnięty. Osiągnięty natomiast został inny cel – propagandowy. Wszczynając dywersję, wydano świadomie na śmierć setki własnych żołnierzy. Wśród dywersantów – przeważnie żołnierzy niemieckich przebranych w cywilne ubrania lub polskie mundury – znajdowała się pewna liczba miejscowych Niemców. Ale głównym przestępstwem volksdeutschów była pomoc udzielana dywersantom. Miejscowi Niemcy przechowywali ich w domach, magazynowali broń i amunicję oraz niejednokrotnie obsługiwali tajne aparaty nadawcze. Tego rodzaju pomoc traktuje się jednak jako zbrodnię, a winni jej ponieśli konsekwencje. W ogniu walki zdarzały się oczywiście pomyłki, ginęli ludzie niewinni; zarówno Niemcy, jak i Polacy. Sięgam znów do przykrych wspomnień. Kiedy w godzinach wieczornych 3 września udałem się, nie wiadomo, który już raz, na dworzec kolejowy, żeby przygotować tajne dokumenty do transportu kolejowego, ulicą Dworcową posuwała się kolumna taborów wojskowych. Nagle dojrzałem oślepiający błysk i usłyszałem huk pękających granatów ręcznych, strzały karabinu maszynowego, krzyk ludzi i kwik koni. Rzuciłem się w boczną uliczkę i ukryłem za załomem bramy. Po chwili rozległ się tupot żołnierskich butów i do bramy wpadło trzech żołnierzy. Kiedy mnie zobaczyli; konsternacja, a potem krzyk: „mamy Niemca!”. Nie wiem, dlaczego uznali mnie za Niemca? O nic nie pytali, nie chcieli żadnych dokumentów. Chcieli mieć Niemca, a ja widocznie na takiego się nadałem. Jeden z żołnierzy zamierzył się na mnie kolbą od karabinu, drugi bagnetem. Na szczęście, w tej chwili pojawił się kapral, który pouczył podko-

mendnych, jak należy postępować z podejrzanymi osobami. Najpierw – powiedział – trzeba ich zrewidować, a później wylegitymować. Nieznanemu kapralowi zawdzięczam więc, że nie znalazłem się na Ehrenfriedhofie w Ehrenhein w charakterze ofiary Blutsonntagu. Wydaje mi się, że tego typu pomyłek nie było dużo, przynajmniej tych z udziałem wojska. Władze wojskowe okazywały często zbytnią wielkoduszność, zwalniając osoby bardzo podejrzane. Należy wziąć pod uwagę, że wśród polskiej ludności cywilnej Bydgoszczy panowało poczucie zagrożenia ze strony niemieckich mieszkańców miasta. W ostatnich dniach przed wybuchem wojny dużo mówiło się o niemieckich szpiegach i dywersantach. Taka psychoza strachu i podejrzliwości występuje często w okresach przed wybuchem konfliktu zbrojnego, kiedy ludzie nie są w stanie ocenić realnego zagrożenia i szukają wrogów także w pobliżu siebie. Niemniej w „krwawej niedzieli” straciło życie kilkuset Niemców. Dokładnej ich liczby ustalić nie można. Sami Niemcy, za pośrednictwem tak zwanej Graeberzentralle, zdolali doliczyć się 360 ofiar. Cyfry te jednak nie odpowiadały potrzebom niemieckiej propagandy, i oto pan dr Goebbels orzekł ku zdumieniu samego kierownika Centrali Grobów, że w Bydgoszczy zginęło 6000 miejscowych Niemców, a więc 60 procent całej ludności niemieckiej miasta! Taką cyfrą można było rozpalić do białości żądę odwetu i usprawiedliwić zaplanowany terror. Dlatego też prawdopodobnie w skład wspomnianej grupy bojowej „Netze” – zlepku różnych formacji – wchodziły także bataliony policyjne pod dowództwem generała policji Mulverstaedta. Może to sugerować, że Bydgoszcz nie tylko chciano zdobywać, ale także pacyfikować. Ministrowi od propagandy, czyli „ministrowi kłamstwa” Josephowi Goebbelsowi potrzebne było nie same powstanie Niemców, lecz ich śmierć, i to możliwie w jak największej liczbie.

Nie będę charakteryzować gehenny ludności polskiej po zajęciu miasta przez Niemców. W mordach bez precedensu rywalizowało: wojsko, policja, Selbstschutz, gestapo i sądy. Zapełniły się więzienia i lochy gestapo. W koszarach artyleryjskich zamknięto kilka tysięcy internowanych zakładników. Uliczne łapanki były codziennym zjawiskiem prawie do końca listopada 1939 roku. Na przykład 11 listopada aresztowano 3800 osób. Tego dnia rozstrzelano także prezydenta Leona Barciszewskiego. Wspomnienia z pamiętnych dni tragicznego września kończę cytatem z raportu bydgoskiej ekspozytury Służby Bezpieczeństwa z października 1939 r.: „Jedno muszę przyznać Polakom – umieją umierać z godnością”. Dodam, że umieli bronić honoru polskiego miasta, nawet w chwili, kiedy wojsko opuściło Bydgoszcz.

Po północy podstawiono pociąg ewakuacyjny, ale kielich goryczy trzeba było wypić do dna. Woźny Błaszkowski powiedział mi, że w składzie pociągu

brak wagonu z naszymi archiwaliami. To był cios nokautujący. Perspektywa dostania się w ręce niemieckie akt Komendy Wojewódzkiej Policji Państwowej w Toruniu odebrała mi chęć do życia. Był to chyba jedyny moment w moim życiu, w którym myślałem o samobójstwie. Nie było czasu na szukanie zaginionego wagonu, pozostała wątpliwość nadziei, że wagon został omyłkowo dołączony do innego składu pociągu. Przypuszczenie sprawdziło się. Wagon wpadł wprawdzie w ręce Niemców, ale dość daleko od Bydgoszczy. Wędrował następnie po wielu stacjach kolejowych Trzeciej Rzeszy, a kiedy wiosną 1940 roku zainteresowano się wreszcie aktami, w Bydgoszczy opadła już najgroźniejsza fala terroru. Prawie wszystkie koperty z tajnymi aktami, które odzyskaliśmy w styczniu 1945 roku, posiadały nienaruszone pieczęcie Komendy Wojewódzkiej Policji Państwowej w Toruniu. Pociąg ewakuacyjny opuścił Bydgoszcz 4 września około godziny drugiej w nocy. Kierunek Toruń. Za oknami – widok palących się osad. Pociąg poruszał się nieoświetlony w księżycowej poświacie prawie bezszelestnie, aby zmylić dywersantów grasujących wzdłuż trasy. Czasem tylko przerywał ciszę krótki urywany sygnał. Nerwowy nastrój udzielił się pasażerom. Biedna matka, podróżująca na gapę, przerwała w pewnym momencie milczenie naiwnym pytaniem, gdzie będzie przesiadka? Jediną odpowiedzią był histeryczny śmiech. W Toruniu alarm lotniczy i bieg do schronu. Zanim odwołano alarm, nasz pociąg się ulotnił, pozostawiając pasażerów na łasce losu. Następne środki lokomocji zdobywaliśmy na własną rękę. Najczęściej były to otwarte węglarki – wagon bydłocy bywał luksusem. Kiedy opuszczaliśmy Toruń, żegnał nas ksiądz z kropidłem w ręce. Odmawiał modlitwy za konających i udzielał rozgrzeszenia, traktując nas jako potencjalnych kandydatów na nieboszczyków. Nastrój przygnębienia potęgował się z godziny na godzinę. Przesiadek było wiele. Mijaliśmy zbombardowane pociągi. Widziałem porzucone zabawki dziecięce w kałuży krwi. Po prawie sześciodniowej niebezpiecznej podróży, w odległości 20 kilometrów od Warszawy zamknęło nam drogę morze ognia. Płonął dworzec. Nad szosą zatłoczoną wojskiem i uciekinierami krążyło kilkanaście bombowców. Od strony dworca czołg niemiecki raził nas kolorowymi pociskami. Kryliśmy się w gliniance, w pobliżu torów kolejowych. Po zapadnięciu zmierzchu, ruszyliśmy szosą wolską w kierunku Warszawy, cały czas pod gęstym ostrzałem niemieckich karabinów maszynowych. W Warszawie zgłosiłem się do dyspozycji Wydziału Archiwów Państwowych. Powierzono mi obowiązki administratora budynku Archiwum Głównego Akt Dawnych przy ulicy Długiej, gdzie mieściła się siedziba Wydziału. Matka i ja doznaliśmy wiele serdeczności w nowym otoczeniu. Prawie trzy tygodnie spędziliśmy z matką w pokoju biurowym Wydziału, przystosowanym naprędce do celów miesz-

kalnych. Szczególnie miło wspominać pomoc kolegi Mariana Kniata. Dzięki tej życzliwości łatwiej było przeżyć koszmarne dni oblężenia. Niestety, dr Kniat nie przeżył wojny – zmarł w obozie jenieckim, dokąd trafił po Powstaniu Warszawskim.

Kilka dni po kapitulacji Warszawy, na początku października, otrzymałem przepustkę do Siedlec. W wypożyczonym szynelu, drogą przez Mińsk Mazowiecki, wyruszyłem na poszukiwanie rodziny. Matkę zostawiłem w Warszawie w Archiwum. Lekki wczesny przymrozek, a śnieg po obu stronach szosy. Tłumy ludzi wracających do Warszawy lub opuszczających Warszawę. Zapamiętałem dziwną scenę: elegancka dama w futrze prowadziła małe dziecko za rączkę. Matka i córka – bosy stąpające po śniegu. Tępa rozpacz na twarzy matki. Chyba zachwianie równowagi psychicznej. Potok ludzki opuszczający Warszawę rozrzedzał się powoli. Posuwałem się szybko, gnany tęsknotą za moją gromadką. Nocowałem w zamożnej wsi w pobliżu linii kolejowej do Małkini. Gospodarz nakarmił kilkunastu wędrowców, takich jak ja. W tych tragicznych dniach byliśmy wszyscy braćmi. Nikt nie odmawiał gościny. Około 15 kilometrów jechałem chłopskim wozem, potem znów *per pedes*. Po dwóch dniach, późnym wieczorem, dotarłem do celu. Kamień spadł mi z serca. Moja Maryla i dzieci wyszły cało z opresji, chociaż mizerny wygląd świadczył o przebytych trudach. Opowieści kraszone były łzami. Prawie osiem tygodni dzieliło nas od chwili pożegnania na dworcu w Bydgoszczy z moją rodziną. Maryla zdała mi relację, co działo się z nią i dziećmi w ciągu tych tygodni rozłąki. Pociąg ich dojechał do Siedlec szczęśliwie, ale wkrótce po przybyciu rozległy się syreny alarmowe i detonacje bomb. Rozpoczął się okres szarpania nerwów. Alarm za alarmem! Ludność ogarnęła panika. Wydawano bezmyślne zarządzenia ewakuacyjne, wychodząc z założenia, że celem ataków powietrznych są miasta. Tymczasem, większe niebezpieczeństwa czyhały w osadach położonych w pobliżu dróg, na których odbywały się ruchy wojsk. Pod wpływem paniki, Maryla z dwójką dzieci, w towarzystwie brata Tadeusza, jego żony i córeczki, dołączyli też do fali zdezorientowanych uciekinierów, kierując się na wschód. Chaos pogłębił się po zajęciu 17 września terenów wschodniej Polski przez Rosjan. Ludzie nie wiedzieli, kogo obawiać się bardziej – Niemców czy Sowietów. Część Polaków panicznie bała się bolszewików, których przedstawiano w Polsce jako antychrystów. Pogląd taki wyrażała też moja matka. Moja rodzina znalazła się kilka razy wśród bombardowanych i ostrzeliwanych kolumn polskich żołnierzy. [...]

W Siedlcach zagnieździł się Niemcy dopiero przed kilkoma dniami. Po-
przednio okupowało miasto wojsko radzieckie. Od północy dochodził huk
dział. Generał Kleeberg toczył ostatnie boje. Po dwóch nocach, prawie nie-

przespanych, zacząłem się rozglądać za jakimś środkiem lokomocji, który umożliwiłby nam powrót do Warszawy. Niemiecka komenda wojskowa w Siedlcach potraktowała moją żonę niezwykle uprzejmie i kiedy zwróciła się z prośbą o przepustkę wyjazdową, wystawiła jej zaświadczenie, z którego wynikało, że jest rodowitą Niemką (volksdeutsch). Widocznie zasugerowało wystawcę dokumentu niemieckie brzmienie naszego nazwiska. Po kilku dniach mego pobytu w Siedlcach uruchomiono linię kolejową. Wyjechaliśmy pierwszym pociągiem. Wagony, mówiąc obrazowo, pękały w szwach. Pociąg włókł się w żółtym tempie. Podróż do Warszawy (około 90 km) trwała cały dzień. Późnym wieczorem dotarliśmy do celu. Godzina policyjna – obowiązywał zakaz opuszczania domów. Budynek dworca kolejowego w Warszawie zniszczony. Nocleg przymusowy pod gołym niebem. Noc gwiazdzista, przymrozek, ziemia przykryta szronem. Ewa i Danka leżały na dużej walizce. Matka ich klęczała obok, na zimnych flisach. Tuliła dzieci i uspokajała je – obraz, którego nie zapomnę. [...] Rano, po dłuższych poszukiwaniach, udało mi się skłonić napotkanego właściciela furmanki do przewiezienia mojej gromadki z bagażem do lewobrzeżnej Warszawy. Było to ładne kilka kilometrów. Powitanie z moją matką i warszawskimi znajomymi serdeczne. Tworzyliśmy prawie jedną rodzinę. Matka moja posiadała dar zjednywania sobie ludzi. Było nam dobrze w Warszawie, wśród życzliwych ludzi, ale tęsknota za własnym domem kazała wracać do Bydgoszczy, skąd dochodziły niepokojące wieści. Woźny Błaszkowski ruszył pierwszy. Liczył, że uda mu się dostać na pociąg, o którego istnieniu krążyły niesprawdzone pogłoski. Ja ze względu na małe dzieci nie mogłem ryzykować. Po kilku dniach dowiedziałem się, że uruchomiono żeglugę rzeczną między Warszawą i Toruniem. Za niewielką opłatą udało mi się otrzymać kąt na parostatku. Była to moja najdłuższa podróż na wodzie. Znow żółtwe tempo, płytka woda, zerwane przęsła mostów, ślady walk. W pięknie położonym Płocku rozmawialiśmy z czeskimi robotnikami w niemieckich mundurach, którzy naprawiali most na Wiśle. Nazajutrz, po prawie nieprzespanej nocy, dotarliśmy w godzinach południowych do Włocławka. Tu parostatek odmówił posłuszeństwa. Na szczęście okazało się, że między Włocławkiem a Bydgoszczą istniało już połączenie kolejowe.

Do Bydgoszczy dotarliśmy w godzinach wieczornych – był chyba koniec października. Na peronie kręciło się kilku bagażowych w polskich mundurach kolejarskich, którzy reagowali tylko na słowa niemieckie. Moją prośbę o pomoc potraktowano ze zgrzybliwą ironią. Przy wyjściu z dworca stał policjant. Taksował mnie wzrokiem, ale nie zaczepił, być może ze względu na obecność licznej rodziny. Podobno kilka godzin wcześniej dokonano licznych aresztowań wśród powracających bydgoszczan. Ze względu na godzinę policyjną

zatrzymaliśmy się w gmachu mego Archiwum położonym w pobliżu dworca. Woźny Błaszowski był już na miejscu i dziwił się, że zdecydowałem się wrócić. Dowiedziałem się od niego, że żonie jego groziło rozstrzelanie w odwet za wywiezienie akt i że gestapo mnie poszukuje. Komisarycznym kierownikiem Archiwum mianowano niemieckiego nauczyciela gimnazjalnego historii Kurta Skonietzkiego. Znałem go od dłuższego czasu. Mówił po polsku i jąkał się straszliwie. [...] Ponieważ pomagałem mu skutecznie w jego poszukiwaniach genealogicznych, więc spodziewałem się życzliwego potraktowania mej osoby.

Na razie dominował problem dachu nad głową. Nielegalny pobyt w Archiwum stawał się niebezpieczny. Biedny Błaszowski drżał ze strachu. Mieszkanie nasze przy ulicy Grunwaldzkiej potraktowano jako bezpańskie mienie polskie i zajęto łącznie z umeblowaniem na rzecz poszkodowanych volksdeutscheów. Byliśmy bezdomni. W analogicznej sytuacji znalazła się znaczna część Polaków powracających z tułaczki. Lokum prowizoryczne znajdowano przeważnie u krewnych i znajomych. Nam udzielił gościny szwagier Zbyszek Nowakowski zamieszkujący z żoną i teściową obszerne mieszkanie przy ulicy Gdańskiej 47. [...] Starania o przydział nowego mieszkania i zniesienia konfiskaty umeblowania trzeba było rozpocząć od szukania poparcia u znajomych volksdeutscheów. Korzystna opinia otwierała drogę do pomyślnego załatwienia sprawy w niemieckich urzędach i instytucjach. Zadanie niełatwe, bo miejscowi Niemcy pałali żądzą rewanżu za stłumioną dywersję. Mimo trudności udało mi się otrzymać kilka poświadczeń o rzekomej lojalności w stosunku do obywateli narodowości niemieckiej. W drugiej połowie listopada władze kwaterunkowe przydzieliły nam mieszkanie, które mieściło się przy ulicy Kozińskiego 38 (Köppel Strasse), na rogu Lelewela. Kilka dni później zwrócono nam część umeblowania. Sukces ten był głównie dziełem starań mojej matki i żony, która coraz częściej dźwigała ciężar odpowiedzialności za los rodziny. [...] Ja, niestety, niewiele mogłem pomagać, bo ujawnienie obecności groziło aresztowaniem.

Za pośrednictwem matki skontaktowałem się z Kurtem Skonietzkim i odbyłem z nim pierwszą rozmowę na temat ewentualnej pracy w Archiwum, w którym był prowizorycznym kierownikiem. Rozmowa, chociaż poważna, przybrała humorystyczny obrót, kiedy Skonietzki zamierzał wyjaśnić mi, że z uwagi na polskie pochodzenie nie będę mógł liczyć na żadne samodzielne stanowisko. Chcąc mi przekazać tę informację, okropnie się zdenerwował; zaczął się jąkać, zacinać i nijak nie mógł dokończyć kwestii, przez którą chciał przebrnąć. W końcu wydusił, wyjąkał i wystękał: w każdym razie, jako Aktenrägera (roznosiciela akt) pana nie zatrudnię, musi to być coś bardziej odpowiadającego pańskim kwalifikacjom – dokończył z trudem. Generalnie

zapewniał mnie o swojej przychylności, obiecał odpowiednią rekomendację, ale poparcie starań o powrót do pracy w Archiwum uzależniał od wizyty we wszechmocnym gestapo. Z rady tej nie skorzystałem ze względów zrozumiałych. Bez trudności udało mi się natomiast zalegalizować powrót rodziny do Bydgoszczy, jako stałego miejsca zamieszkania, w miejskim biurze ewidencji ludności. Zdziwiła mnie wyjątkowa uprzejmość i życzliwość Niemki siedzącej za biurkiem. Wyraźnie podkreślała, że poświadczenie biura wystarczy, odradzając kontaktów z innymi władzami. Istotnie, pomogło to w staraniach o dach nad głową – nie wystarczyło jednak do ugruntowania nowej egzystencji materialnej. Droga prowadziła przez Arbeitsamt, a ten kierował zgłaszających się prawie nieuchronnie do Rzeszy, jako zwykłą siłą roboczą. Urząd Pracy współpracował też ściśle z gestapo. Pobyt w Bydgoszczy w okresie nasilenia terroru antypolskiego był ryzykowny. Rewizje i łapanki odbywały się dniem i nocą. Po kilku dniach spędzonych w nerwowym oczekiwaniu postanowiłem wyjechać do Poznania, aby tam zbadać grunt i ewentualnie znaleźć odpowiednie zatrudnienie.

W Poznaniu panował nastrój niepewności. Większość Polaków czekała nerwowo na niemieckie uderzenie. Niektórzy szukali kontaktów ze zwycięzcami, chyba po to, aby wysondować ich zamiary. W restauracji na Garbarach, do której wstąpiłem na herbatę, panował nietypowy gwar. Słowa niemieckie krzyżowały się z polskimi. Dyskutowano w oparach alkoholu. Przy stoliku, który znalazł się w zasięgu mojego wzroku, Polak całował się z niemieckim policjantem. W Bydgoszczy tego rodzaju sytuacja byłaby nie do pomyślenia, a w miejscach publicznych prawie od początku okupacji był zakaz używania języka polskiego. Czy różnica między Niemcami poznańskimi a bydgoskimi była istotnie tak duża? Uważam, że Niemcom w Poznaniu brakowało początkowo pretekstu do rozprawy z Polakami w rodzaju „krwawej niedzieli”. Fala terroru hitlerowskiego rosła w Poznaniu wolniej, trwała jednak dłużej niż w Bydgoszczy. [...]

Do Bydgoszczy wróciłem, ale tylko na kilka dni. Do ponownego wyjazdu namówili mnie Mateccy, którym zaczął się palić grunt pod nogami. Obawiali się słusznie, że represje niemieckie mogą dotknąć także ich, znanych kupców bydgoskich. Swoje zdolności kupieckie zamierzali wykorzystać w Łodzi. Wyjechałem więc do Łodzi, gdzie zatrudniono mnie w sklepie bławatnym. Sztuka handlu, tak jak sztuka robienia pieniędzy, była zawsze dla mnie czymś obcym. Stałem trochę za sklepową ladą w charakterze subiekta i kroilem materiały bez większego zaangażowania. Trwało to kilka tygodni, do czasu, kiedy Łódź przestała interesować Mateckich i zaczęli przenosić agendy handlowe do Krakowa. Próbowałem jeszcze znaleźć posadę w łódzkim archiwum miejskim, ale aresz-

towanie znajomego kierownika tegoż archiwum przekreśliło moje plany. W drugiej połowie grudnia wróciłem do Bydgoszczy. Święta Narodzenia Pańskiego spędziłem już w gronie rodzinnym.

Przed wyjazdem z Łodzi otrzymałem wiadomość, że Edmundowi Mateckiemu, najstarszemu z braci, udało się „kupić” dla mnie poświadczenie o przebadaniu przez gestapo, co było równoznaczne z glejtem potrzebnym do uzyskania miejsca pracy. Edmund, zwany przez znajomych Goerdlem, mieszkał przy ulicy Długiej 10 i prowadził dom otwarty, którego duszą była jego żona – tytułarna ciotka Tola. On, stary bydgoszczanin, winiarz i właściciel fabryki wódek, był długi czas radnym miejskim i cenionym kupcem. Ona – posiadała rzadki dar kolekcjonowania wpływowych znajomych, nie tylko Polaków. Ja się tam specjalnie nie pchałem, nie chcąc spaść do roli uboższego krewnego, ale moja matka bywała u nich dość częstym gościem i przynosiła moim dzieciakom różne gościńce. W czasie okupacji przejął jego przedsiębiorstwo niemiecki powiernik, ale kierownikiem był nadal zacny pan Edmund. I nadal istniał tam dom otwarty dla polskich pariasów i dla niemieckich nadludzi. Główną siłą atrakcyjną stanowił alkohol, nabywany na lewo bez kartek i bonów przydziałowych. Goście niemieccy płacili różnymi drobnymi przysługami, między innymi wspomnianymi poświadczeniami o przebadaniu przez gestapo. Korzystanie z cudzej dobroczynności, bez możliwości odpowiedniego rewanżu, było zawsze dla mnie przeżyciem upokarzającym, chociaż racje rozumowe tłumaczyły, że walka o biologiczne przetrwanie narodu polskiego wymaga kompromisów. Niektóre sprawy dyskretnie ukrywano przede mną. Święta Bożego Narodzenia 1939 roku, spędzone w nowym mieszkaniu przy ulicy Kozińskiego, zapoczątkowały okres względnej stabilizacji życia rodzinnego. Nadszedł czas uregulowania podstaw materialnych naszej egzystencji.

Po świętach, z poświadczeniem od gestapo w rękę, przypomniałem profesorowi Kurtowi Skonietzkemu o obiecanej posadzie w Archiwum. Spotkał mnie zawód – Skonietzki przestał być kuratorem bydgoskiej placówki archiwalnej, obiecał jednak, że postara się o inną posadę, odpowiadającą mniej więcej moim kwalifikacjom. Przyrzeczenia dotrzymał. W pierwszej dekadzie stycznia 1940 roku otrzymałem wiadomość, że wakuje posada archiwisty w bydgoskim Kulturamcie. Zgłosiłem się. Arbeitsamt robił wprawdzie trudności, wytykając mi opóźnioną rejestrację, ale po skontaktowaniu się z kierownikiem angażującego mnie urzędu dr. Kaufmannem, podpisał skierowanie. Nareszcie miałem trwałe źródło dochodu, a rodzina uregulowana jako tako warunki egzystencji. Był najwyższy czas, złoto i biżuteria matki, ratujące nas od nędzy, kończyły się. Zatrudniono mnie, tak jak i innych Polaków, na okres próbny, ale okres ten wielokrotnie przedłużano, także w końcu „okres próbny”

stał się zatrudnieniem na czas nieokreślony. Na początek dali mi 160 marek miesięcznie. Po roku miałem już 180 marek i wśród Polaków była to jedna z najwyższych gaź. Niemieccy pracownicy umyślowi zarabiali znacznie więcej, ale nie narzekałem. Pobory wystarczyły na wykup przydziałów żywnościowych i odzieży. Z biegiem czasu, kiedy racje żywnościowe zmniejszały się, masło i inne podstawowe produkty żywnościowe stawały się rarytasem, trzeba było organizować zaopatrzenie nielegalne. Posiadanie krewnego lub dobrego znajomego na wsi oznaczało w tych czasach więcej niż wygrana na loterii. Wyjazdy mieszczuchów w plener stawały się zjawiskiem niemal powszechnym. Ceny paskarskie, nie na kieszeń biedaka, ale brano je głównie od Niemców. W stosunku do swoich obowiązywał inny cennik, a często w ogóle go nie było. Od 1942 roku obowiązywało niepisane prawo, że Polacy wpisani na niemiecką listę narodowościową pomagają tym, którzy pozostali Polakami. Ja nie potrzebowałem szukać źródła zaopatrzenia zbyt daleko. Stary znajomy, przed wojną właściciel gospody, pan Walerian Goncerzewicz, administrował gospodarstwem rolnym należącym do huty szkła w Łęgnowie pod Bydgoszczą. Do niego udawałem się, kiedy potrzeba stawała się paląca. Nigdy nie wracałem z pustymi rękoma, zawsze znalazło się trochę środków żywnościowych. Zdarzały się też okazjne prezenty z innych źródeł. W sumie były to jednak drobne zastrzyki, a potrzeby rosły nieproporcjonalnie do możliwości ich zaspokojenia. Nasze codzienne menu było wysoce nieurozmaicone. Na obiad jedliśmy zazwyczaj; kartofle, marchew, buraki, brukiew i grzyby. Od czasu do czasu pojawiał się w naszym jadłospisie korbal, czyli dynia. Brukiew przyrządzało się na różne sposoby – przeważnie serwowano ją jako gęstą papkę okraszoną słoniną. Na naszym domowym stole gościły niezmiennie namiastki produktów żywnościowych, tzw. ersatze. Zaliczało się do nich prasowaną marmoladę, melasę z buraków cukrowych, sztuczny miód, sacharynę, a nawet „mydlaną” czekoladę. Do codziennych napojów należała kawa zbożowa, herbata z lipy i herbata z suszonych łupin od jabłek. Czasami jadło się złowione przez sąsiadów ryby i raki. Wszystko było na kartki; żywność przydzielano na podstawie kart żywnościowych (Lebensmittelkarte), a odzież, bieliznę, obuwie, a nawet nici na kartki odzieżowe (Spinnstoffkarte). Na kartki był także opał i papierosy. Pamiętam, że w pewnym okresie przydzielano pięć papierosów i dwa cygara tygodniowo na dorosłą osobę. Ja, nałogowy palacz, przez całą okupację nie paliłem papierosów. Zbędne papierosy zamienialiśmy na artykuły żywnościowe. Racje mięsa i kiełbasy przydzielane w systemie kartkowym, nie wystarczały na zaspokojenie potrzeb życiowych siedmioosobowej rodziny. Oczywiście o wiele wyższe były przydziały żywnościowe dla reichsdeutschów i volksdeutschów.

Wracam jednak do pogodniejszych dni i sytuacji w 1940 roku. Mieszkanie nasze na ulicy Kozińskiego 38 mieściło się w dwupiętrowym domku, rodzaju willi. Zajmowaliśmy parter. W skład tego mieszkania wchodziły dwa pokoje z kuchnią i lokalem handlowym. Dom był świeżo zbudowany, nietynkowany. Lokali parterowych nie zdołano przed wojną wynająć. Życie rodzinne i towarzyskie koncentrowało się w narożnikowym lokalu sklepowym z witrzyną, który posiadał największy metraż. Mebli jakoś starczyło. Gości nigdy nie brakowało. Najczęściej zjawiał się teść. Przychodził na pogawędkę połączoną z preferansem lub brydżem, w zależności od aktualnej liczby naszych gości. Odwiedzali nas też Zbyszkowie i wspomniana już starsza pani Matecka. Stosunki sąsiedzkie kształtowały się na bazie serdeczności. Nad nami mieszkali właściciele domu Limińscy – bezdzietne małżeństwo. On był przed wojną kupcem. Niezbyt urodziwy, jednooki, ze szramą na twarzy. W czasie naszej krótkotrwałej znajomości pracował w niemieckim urzędzie powierniczym „Grundstückgesellschaft”. Widziałem w nim człowieka zamkniętego w sobie, niezwykle ostrożnego. Z niedowierzaniem przyjąłem do wiadomości fakt jego aresztowania, w związku z prowadzoną działalnością konspiracyjną na terenie zakładu pracy. Po kilkuletniej gehennie obozowej wrócił do Bydgoszczy, ale wyraźnie zdziwaczał. Rozwiódł się z żoną, mnie też przestał demonstracyjnie poznawać na ulicy. Innym typem człowieka była jego małżonka – łodzianka, ewangeliczka, pochodziła z rodziny niemieckiej, ale czuła się Polką. Niezbyt wysoka, pulchna, nos perkowaty, wesoła, rozhukana, towarzyska. Radość życia przygasła po aresztowaniu męża. Aby go ratować, zmieniła narodowość i spowodowała, czy też chciała spowodować, wpisanie męża na niemiecką listę narodowościową. W 1941 roku wyprowadziła się do krewnych, którzy mieszkali na Gdańskiej. Jej wizyty stawały się coraz rzadsze. W ostatnim roku wojny kontakt został prawie zupełnie zerwany. Na drugim piętrze mieszkał August van Blerique z rodziną. Zgodnie z tym, co opowiadał, przodkowie jego przybyli do Polski w XVII wieku z Holandii i osiedlili się w okolicach Świecia. Źródła historyczne istotnie wskazują, że tereny wzdłuż dolnej Wisły w tym okresie były miejscem zwartego osadnictwa holenderskiego. Mąż, żona i dorastająca córka. On, w granicach pięćdziesiątki; przed wojną piastował dłuższy czas urząd wójtowski. W dość mglistych okolicznościach przestał urzędować i zaczął uprawiać zawód kupiecki. Smykałkę do interesów miał zawsze, nawet w okresie okupacji, kiedy był skromnym buchalterem. Zachowałem go w pamięci jako człowieka bardzo życzliwego i uczynnego. W domu jednak rządził nie on, lecz jego Marysia. Osoba pełna radości, werwy, temperamentu i czasami trochę rubasznego humoru. Dysponowała wówczas resztkami nieprzeciętnej urody i cieszyła się podobno powodzeniem w pod-

bojach męskich serc. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek mówiła „mój mąż” albo pieszczotliwie „Gucio”, dla niej był sztywno, kalendarzowo Augustynem. Kochała go na swój sposób. W życiu naszej rodziny odegrała rolę najserdeczniejszej kumoszki. Przyjaźń, która połączyła dwie Marysie; Esmanową i Bleriqueową, trwała do grobowej deski. Córka jej była uczennicą u cukiernika. Dzięki uczynności sprytniej latorośli sąsiadów jedliśmy od czasu do czasu pieczywo – nur für Deutsche – bez znaczków. W domu narożnikowym, na ukos, po przeciwległej stronie ulicy, znajdował się warsztat szewski. Urzędował w nim mistrz Karcz. Jakimś cudem tolerowano jego praktykę, mimo że pochodził z byłego zaboru rosyjskiego, czyli tak zwanej Kongresówki. Zgodnie z planem hitlerowskim, Polacy z Kongresówki mieli być wysiedleni z Bydgoszczy w pierwszej kolejności. Rodzina Karczów: mąż, ona i dwóch smyków (Hilary i Zdzichu) w wieku moich córek, stanowiła aktywniejszą część Polonii bielawskiej. W domu ich ukrywała się przez pewien czas zbiegła zakonnicza – Stefania, której groziła wywózka do Niemiec. Dzięki inicjatywie i wzajemnej sympatii naszych żon doszło do nawiązania więzów trwałej znajomości między rodzinami Esmanów i Karczów. Krąg znajomych rozszerzał się, bo w domu Karczów, z okazji różnych uroczystości rodzinnych, można było spotkać liczną parantelę krewnych i powinowatych. Trwalszy charakter miała znajomość z rodziną Jasiczaków z Osieka w powiecie wyrzyskim, których odwiedziliśmy kilka razy w okresie powojennym. Dużym przeżyciem dla waszej matki było powierzenie jej roli matki chrzestnej Marysi Karczówny, która wyrosła na dorodną pannę, dziś już mężatkę.

Największym wydarzeniem w życiu naszej rodziny w tamtych latach był dzień urodzenia syna Janusza. Najradośniejsza niespodzianka dla matki, która do ostatniej chwili była przekonana, że rodzi trzecią córkę. [...] Zacieśniła się moja przedwojenna znajomość z Tadzkiem Wieczorkowskim. Archeolog, pracował teraz jako zwykły robotnik na lotnisku, później w fabryce amunicji w Łęgnowie. Latem urządzaliśmy wycieczki z rodzinami do pobliskiego Lasu Gdańskiego. Dziś znajduje się tam osiedle Leśne. On z synem Wiesiem, rzadziej z żoną, ja przeważnie z Januszem, który zabawiał nas swoją zabawną paplaliną, przekręcając niektóre słowa pociesznie. [...] Częściej odwiedzałem Tadzka w domu, wracając z zakładu pracy. Stykał się z robotnikami cudzoziemskimi. Dysponował też ciekawymi obserwacjami nastrojów panujących w obozach pracy. Dominowała tematyka polityczna, przeważnie trzeźwa kalkulacja.

Fantastykę polityczną na Bielawkach reprezentował kapitan Andrzej Kulwiec. Mąż o wysokiej szlacheckiej posturze, typ Cześnika z *Zemsty o mur graniczny*. Właściciel filigranowej żony i dwojga dzieci. Syn był nienormalny. Pan Andrzej posiadał niezwykle bogaty życiorys. Działacz niepodległościowy

w okresie caratu; podobno uczestnik zamachu na Generała Gubernatora Warszawy – Gieorgija Skałona. Eks-piłsudczyk, eks-legionista, inteligentny, elokwentny, czytany; uczestniczył przed wojną czynnie w życiu kulturalnym Bydgoszczy. Niektórzy jego koledzy legionowego chowu od dawna nosili mundury generalskie lub okupowali fotele ministerialne. On został przeniesiony w stan spoczynku w skromnej randze kapitana. Do roku 1939 był wykładowcą w szkole oficerskiej dla zawodowych podoficerów. Jakie były przyczyny dyskryminacji? Prześladował go pech, nie umiał stawiać na właściwą kartę. Gorący patriota, urzeczony czarem polskiego munduru, zamiast pójść z kolegami za druty obozu w Szczypiornie koło Kalisza, zaprzysiągł wierność szczątkowej formacji legionów, podporządkowanej – kreowanej przez Niemców Radzie Regencyjnej. Nie zrehabilitował go udział w rozbrajaniu niemieckich sprzymierzeńców w listopadzie 1918 roku. Wódz legionów nie wybaczył zdrady! Przypuszczam jednak, że były jeszcze inne powody niełaski. Pan Andrzej posiadał bowiem cechy charakteru niesprzyjające karierze wojskowej, chociażby tylko zbyt ostry język.

W pierwszych dniach drugiej wojny światowej internowano w dzisiejszym gmachu Urzędu Wojewódzkiego w Bydgoszczy kilkadziesiąt wpływowych osobistości niemieckiej mniejszości narodowej. W areszcie znalazł się również sąsiad pana Andrzeja – redaktor Marian Hepke z miejscowej „Deutsche Rundschau”. Zdaniem kapitana popełniono pomyłkę, aresztując porządnego człowieka. Ubrał się więc w galowy mundur i z szablą u boku poszedł „wyzwalać” sąsiada. Dzięki temu czynowi w stylu Don Kichota został zaliczony do mniej prześladowanej nacji białoruskiej. Nowi władcy patrzyli też pewien czas przez palce na dziwne poczynania dziwnego Białorusina. Eks-kapitan propagował bowiem stary model Polski od morza do morza z królewiczem angielskim na tronie. W czasie okupacji prowadził coś w rodzaju ekspozytury angielskiej BBC. Zajmował się kolportowaniem wiadomości odpowiednio spreparowanych, wcielając się niejako w postać Wernychory. W tym charakterze odbywał wędrowki po Bielawkach, nie pomijając naszego domostwa. Misja ta cieszyłaby się większym powodzeniem, gdyby pan Andrzej zajmował się mniej prorocत्वami, a ograniczał się do przekazywania informacji sprawdzalnych. Z biegiem czasu malała liczba słuchaczy. [...] Po wojnie nie mógł się przystosować do nowych porządków, podobno konspirował przeciwko nowej władzy. Zainteresował się nim UB. Zginął tragicznie w 1946 roku.

Poświęciłem dużo miejsca dla charakterystyki nastrojów, które nurtowały polską społeczność, oczekującą pomyślnego i rychłego końca udreki okupacyjnej. Niestety, czekały nas liczne rozczarowania. Spokojny, osiadły tryb życia Polaków, istnienie polskich skupisk w dzielnicach zaliczanych do „lepszycy”

drażniło i niepokoiło okupanta. W północno-wschodniej części przedwojennych Bielawek, prawie czysto polskiej, pojawiało się coraz więcej przybyszów z Rzeszy, Gdańska, Besarabii i krajów nadbałtyckich. Pierwszym zgrzytem w naszej „idylli” okupacyjnej było zajęcie mieszkania po Limińskich przez Arbeitsdienstoberfeldmeistra – Ahrensa, rodem z Hamburga. Ahrens pracował w obozie dla dorastającej młodzieży niemieckiej w Grucznie w powiecie świeckim. Do Bydgoszczy dojeżdżał od czasu do czasu. Widywałem go rzadko. Nie wiem, jak zachowywał się w miejscu pracy. W stosunku do mnie i mojej rodziny zachowywał neutralność. Chyba nie bardzo wiedział, z kim ma do czynienia. Próbował mnie przekonać o wyższości ustroju hitlerowskiej Rzeszy, która z niego, byłego komunisty, zrobiła głęboko wierzącego narodowego socjalistę. Kiedy wyrzucili nas w 1943 roku na Wrangla (Chłopickiego), przechowywał w skrzyni, w korytarzu moje polskie książki, między innymi trzypięciową *Historię Polski* z wybitymi złotymi orłami piastowskimi. Skrzynia nie była zamknięta na kłódkę, być może więc tam zaglądnął? Żona jego – Niemka ze Słupska, o przeciętnej urodzie, ani brzydka, ani ładna, tyle że młoda, młodsza od mojej Maryli. Miała dwóch chłopaczków, o imionach: Udo i Ingo. Starszy, Udo, był towarzyszem zabaw Janusza i tytułował jego matkę – „mamusza”. Ahrensowa czuła się obco w bydgoskim środowisku i szukała towarzystwa. Imponowało jej doświadczenie życiowe babci Esmanowej. [...] Zaczęła dojrzywać zażyłość, która pozwoliła nam przemycić do gospodarstwa domowego Ahrensów wspomnianą już zakonnicę Stefcie i zalegalizować jej pobyt w Bydgoszczy. Ale zbliżenie zawierało też niebezpieczne elementy, które ujawniły się w okresie, kiedy namiestnik Rzeszy w Gdańsku, Albert Forster, wpadł na pomysł zniemczenia większości Polaków w swojej prowincji, zarządzając akcją wpisową na niemiecką listę narodową.

Pewnego dnia, kilka miesięcy przed ukazaniem się odezwy gdańskiego wielkorządcy Alberta Forstera, zjawiło się u nas w domu na Koziętulskiego trzech Niemców w brunatnych partyjnych mundurach. W pierwszej chwili sądziłem, że znowu jakaś rewizja mieszkania, jakimi początkowo terroryzowano polską ludność; Niemcy zachowywali się jednak grzecznie, jak gdyby z lekkim zaambarasowaniem. Przepraszając za najście domu, zadali mi pytanie, czy czuję się zainteresowany ewentualnym przyjęciem obywatelstwa Rzeszy. Na ten temat krążyły już od pewnego czasu pogłoski, więc poniekąd byłem przygotowany na tego rodzaju sytuację. Odpowiedziałem dość ostrożnie w trybie warunkowym, że jeżeli wszyscy Polacy otrzymają obywatelstwo Rzeszy, to chyba nie będę protestował. Byli nieco skonsternowani brakiem entuzjazmu. Tłumaczyli się, że żadna decyzja jeszcze nie zapadła, a cała sprawa jest w stadium wstępnych badań. Im polecono tylko opracowanie listy ewentualnych

kandydatów na przyszłych obywateli Rzeszy. Prosili, abym wyraził zgodę na wpisanie mego nazwiska na listę, która zawiera kilkadziesiąt nazwisk z terenu Bielawek. Podkreślali, że umieszczenie nazwiska na wstępnej liście do niczego nie zobowiązuje i stanowi ich zdaniem czystą formalność. Kiwnąłem potakująco głową w błogiej nadziei, że nie będzie dalszego ciągu. Nie minął jednak tydzień od dziwnej wizyty, kiedy zostałem z całą rodziną wezwany przed oblicze groźnego szefa partii, gauleitera okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie Alberta Forstera. Przyjechał do Bydgoszczy w połowie maja 1941 roku, aby osobiście poznać problem od podszewki. „Egzamin”, czyli posiedzenie komisji rozpoczynającej wstępną akcję wpisu na niemiecką listę narodowościową, miał miejsce w siedzibie klubu wioślarskiego „Frithjof” nad Brdą (obecnie BTW). Spędzono tam kilkaset osób. Byli wśród nich tacy, którzy czuli się Niemcami, ale na twarzach większości można było wyczytać strach i przygnębienie. Do tej większości należeliśmy my [...]. Oczywiście przygotowaliśmy się do spotkania z Forsterem. Generalnie taktyka miała polegać na tym, żeby nie dać się wciągnąć w dłuższą wymianę zdań. Szczególnie uczułem na ten punkt moją matkę, która należała do osób elokwentnych, czasami lekko-myślnie wdających się w niepotrzebne dyskusje. Po kilku godzinach męczącego oczekiwania wywołano nasze nazwisko. Weszliśmy do środka. Sala pięknie udekorowana, długi stół, za stołem – „On” – w otoczeniu dygnitarzy gdańskich i bydgoskich. Brunatne i czarne mundury, upstrzone złotem i srebrem. Wśród bydgoskich bonzów zauważyłem prezesa Rejencji dr. Hansa Schimela i nadburmistrza Ericha Tempa. Forster spojrział i zatrzymał wzrok na mojej matce, otworzył teczkę z aktami, chwilę czytał i powrócił wzrokiem znowu do matki. Potem przywołał swojego adiutanta i eksperta do spraw rasowych Wilhelma Löbsacka i zapytał: „Kogo przypomina panu ta dama? Czy to nie jest wierna podobizna pani pułkownikowej Smidowitz?”. Takiego obrotu sprawy nikt się z nas nie spodziewał. Zakładaliśmy, że towarzysze będą drażnić pochodzenie rodziny Esmanów. Matka zaniemówiła, ale tylko na chwilę. Szybko stwierdziła, że z linią pułkownika Śmidowicza nie ma nic wspólnego, bo pochodzi z Wrześni, a jej ojciec był piekarzem i nigdy nie należał do stanu wojskowego. Uważała, że nadszedł odpowiedni moment, aby opowiedzieć, jakie miała ciężkie dzieciństwo, roznosząc nad ranem bułki do domów zamożniejszych obywateli Wrześni. Taktyka matki polegała na odciągnięciu dygnitarza od niemieckiego śladu rodu Śmidowiczów. Forster nie zraził się opowiadaniem matki i po dłuższej pogawędce na temat pochodzenia jej rodziny rzucił kilka zdawkowych pytań pod moim adresem. Zakończył spotkanie stwierdzeniem: „Die Familie gefällt mir” – ta rodzina mi się podoba. Głowy dygnitarzy hitlerowskich pochyliły się na pożegnanie polskiej damy; wypadek

chyba bez precedensu! Wyszedłem jak rażony obuchem. Nie padło oczekiwane pytanie, na które chciałem odpowiedzieć – nie! Wydawało mi się, że zabrnąłem w ślepią uliczkę. Dlaczego tak łatwo można było zdać egzamin na Niemca? Czyżby Forster zakładał, że w Bydgoszczy mieszkają tylko Niemcy? Los okazał się na szczęście łaskawszy. Minał niespełna miesiąc od naszego spotkania z Forsterem, kiedy rozeszła się wieść, że rodziny przeegzaminowane przez gauleitera mają otrzymać dowody wyrzeczenia się przynależności do narodowości polskiej. Tego dnia obserwowaliśmy zza firanki z zapartym tchem na moment pojawienia się żółto-brązowego munduru partyjnego blockleitera Fleischera. Pojawił się obok naszego domu, ale o dziwo go ominął i wszedł do narożnikowego domu po przeciwległej stronie ulicy Koziętulskiego. Odetchnęliśmy z ulgą, ale równocześnie usiłowaliśmy znaleźć odpowiedź na pytanie, jak to się stało? Prawda, że nie kryłem się z tym, że nie pragnę zmiany narodowości. Publicznie opowiadałem, jaką gafę popełnił Forster, wstępnie kwalifikując moją rodzinę jako nadającą się do zniemczenia. Mówiłem o tym głośno. Słowa moje prawdopodobnie docierały do uszu przedstawicieli partii. Gruby blockmeister Fleischer namawiał do zamanifestowania moich proniemieckich sympatii. Odmówiłem. Niemcy musieli skorygować opinię Forstera, po dokładniejszym zapoznaniu się z moim życiorysem. Nie dali mi dowodu tymczasowego (Zwischenausweis), ale nie zrezygnowali z próby wymuszenia wyraźnej deklaracji. Pewnego dnia Fleischer przyniósł nam znaczki żywnościowe dla Niemców – pułapka? Weźmiemy – rozejdzie się fama, że przystałem do Niemców. Nie weźmiemy – to pozbawimy nasze dzieci wielu niezbędnych kalorii i witamin. Po krótkiej naradzie, moja matka odniosła znaczki do biura zaopatrzenia kartkowego (Wirtschaftsamt – Urząd Gospodarczy), prosząc o zmianę znaczków z niemieckich na polskie. Być może były takie przypadki, że Polacy odmawiali przyjęcia wyższych racji żywnościowych, ale o nich nie słyszałem. Znaczki przyjęto, ale na nowe, dla Polaków, trzeba było poczekać pewien czas. Powstał problem zaspokojenia elementarnych potrzeb aprowizacyjnych. Niektóre dni po prostu głodowaliśmy. Żołądek zapychało się wtedy wysuszonym chlebem. Worek z suchym chlebem trzymaliśmy zawsze na szafie na czarną godzinę. Tych czarnych godzin, niestety, nie brakowało.

Ledwie wydobyliśmy się z wędki zarzuconej przez Alberta Forstera, a już pojawiła się olbrzymia sieć, do której zamierzono złowić większość Polaków na Pomorzu. Siecią nazywam wezwanie szefa partii na okręg Gdańsk-Prusy Zachodnie gauleitera Alberta Forstera do składania wniosków o przyjęcie na niemiecką listę narodowościową. Znów zmartwienie i bezsenne noce, tyle że spędzane wspólnie, a wiadomo – w gromadzie zawsze różnie. Głównym

narzędziem przymusu stały się zakłady pracy zatrudniające Polaków. Jeżeli nie skutkowałą groźba utraty pracy, wzywano gestapo. Dwóch moich kolegów z Kulturamtu (Urząd Kultury Rolnej) uciekło do Generalnej Guberni – byli kawalerami. Ja podpisałem wniosek, jako jeden z ostatnich maruderów, krótko przed upływem terminu. Liczyłem na to, że demonstracyjne ociąganie się będzie interpretowane jako negatywne ustosunkowanie się do akcji zniemczania. Tak się też stało. Komisja orzekająca o przynależności do narodu niemieckiego zaliczyła podobno do grzechów głównych przeciwko Niemczyźnie słowiańskie imię mojego syna. Od orzeczenia przysługiwało odwołanie. Niektórzy Polacy odwoływali się. Mnie blockleiter pytał, dlaczego tego nie zrobiłem jeszcze w czerwcu 1944 roku. Wówczas mieszkaliśmy jednak już gdzie indziej. Jeśli chodzi o typowo polskie imię syna Janusz, to udało się je „załatwić” w pewnym sensie przez przypadek. Dowiedzieliśmy się, że w urzędzie stanu cywilnego pracuje Polka. Moja matka, osoba obrotowa i komunikatywna, postanowiła odpowiednio „urobić” urzędniczkę. Odwiedziła ją dwa razy; raz w miśji sondażowej, drugi raz z dowodem wdzięczności w postaci pierścionka. Mimo przyjęcia „dowodu wdzięczności” po załatwieniu sprawy, urzędniczka sporo ryzykowała, wpisując w metryce urodzenia Janusz, a nie urzędowo – zwyczajowy; Johann czy Heinrich. Chwała jej za to! Podobnym naciskom było poddawanych tysiące mieszkańców Bydgoszczy, Torunia, Świecia, Chełmna i innych miast na Pomorzu. Ludzie z innych regionów Polski, w szczególności z Generalnej Guberni, nie mieli pojęcia, co działo się na ziemiach wcielonych do Rzeszy Niemieckiej. Później, po wojnie nie raz byłem świadkiem wydawania krzywdzących ocen na temat zachowania Polaków na Pomorzu w czasie okupacji hitlerowskiej. Prawie całą okupację spędziłem w Bydgoszczy, stąd mam dużą wiedzę o postawach ludzi w tych trudnych czasach. Moja wiedza oparta jest nie tylko na obserwacjach własnych, ale także na dokumentach archiwalnych i zeznaniach świadków, do których miałem dostęp z racji działalności w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich. Po wojnie czasami miałem odczucie, że moja wiedza okupacyjna była dla niektórych ludzi kłopotliwa. Rozmawiałem z dziesiątkami osób na okoliczność zbrodni popełnionych przez Niemców w czasie okupacji. Teraz mogę powiedzieć, że wartość tych zeznań była różna. Ciekawe, jak ludzie szybko zapominają przeszłość. Czasami świadkowie opisywali zdarzenia, które sam obserwowałem. Ja jednak widziałem je inaczej.

Po nieudanej próbie zniemczenia Niemcy nie ukrywali, że jestem *persona non grata* na terenie niemieckich Bielawek. Mnożyły się niepokojące zjawiska. Jesienią 1942 roku wpadł do nas z impetem jakiś osobnik, noszący to same nazwisko co ja. Postawił mi ultimatum: albo zmienię nazwisko, albo wypro-

wadzę się gdzie indziej. Znajomi zaczynali go rzekomo podejrzewać, że między nim a mną istnieje pokrewieństwo. Tego rodzaju podejrzewania raziły jego dumę narodową. Nie trwało długo, a zjawiała się u nas nieznajoma kobieta w wieku co najmniej dojrzałym, ale rumiana i hoża. Podobno Polka, ale posługiwała się językiem niemieckim. Po dłuższym „kołowaniu” zastrzeżona nas pytaniem, czy i kiedy mieszkanie będzie wolne; ma bowiem znajomego, który szuka własnego lokum. Odprawiliśmy ją z kwitkiem. Nie dała się jednak odstraszyć i ponowiła „wizyty wywiadowcze”. Udając życzliwość, przynosiła dzieciom karmelki. Pewnego dnia przywlekła ze sobą kulawego jegomościa, inwalidę z okresu pierwszej wojny światowej. Kulas był, jak się okazało, jej chlebodawcą i przypuszczalnie kandydatem na męża. Opasły gdański Niemiec zachowywał się tak, jakby mieszkanie już do niego należało. Oficjalnie doręczono nam wypowiedzenie najmu na przełomie lat 1942/1943. Dano nam, jeżeli dobrze pamiętam, miesiąc na poszukanie sobie mieszkania zastępczego, podając kilka adresów. To, co oglądaliśmy, uragało wszelkim zasadom higieny i bezpieczeństwa. Czas jednak upływał, trzeba było się na coś zdecydować. Wzięliśmy więc w posiadanie nędzny lokal na ulicy Chłopickiego (wtedy Wrangel Strasse) na Wilczaku, w pobliżu ulicy Nakielskiej. Znaleźliśmy się w rejonie miasta, który zasługiwał na nazwę polskiego getta. Z Bielawkami pożegnaliśmy się w marcu 1943 roku. Nowym lokatorem po Polaku Esmanie był Niemiec Mroziński. Dom przy ulicy Kozińskiego został zresztą gruntownie zniemczony. Prawie równocześnie z nami usunięto Blerique’ów, mimo wpisania ich na niemiecką listę narodowościową. Z ciężkim sercem opuściliśmy znajome kąty. Świeciliśmy tam dziesięciolecie naszego małżeństwa. We wspomnieniach pozostał obraz na ogół pozytywny. Nasze życie uczuciowe i rodzinne stanowiło jak gdyby kontynuację najszcześniejszego okresu międzywojennego. Tyle że mnożyły się kłopoty i troski. [...]

Nowe mieszkanie mieściło się w domku parterowym z jednopiętrową przybudówką. Oddzielone od ulicy Chłopickiego ogrodem, leżało jak gdyby na zapleczu znacznie młodszych i rośniejszych kamienic. Brakowało światła elektrycznego, gazu, wody i kanalizacji. Wodę czerpaliśmy z pompy oddalonej około 30 metrów od domu. Korzystały z niej również rodziny z kilku domów przy ulicy Nakielskiej, pozbawionych tak jak i my dobrodziejstw instalacji wodociągowej. Przydzielone mieszkanie stało od dłuższego czasu puste. O poprzednich lokatorach krążyły złe wieści. Rozegrał się tu epizod tragicznych losów rodziny Skrobaczewskich i Kwiatkowskich. Szczegółów nie znam. Słyszałem, że prawie wszyscy członkowie wspomnianych rodzin zginęli w katowniach gestapo lub w obozach koncentracyjnych. Po odbiór kluczy trzeba było się zgłosić do biura tajnej policji. Po otwarciu drzwi – obraz nędzy

i rozpaczy! Podłoga zawalona papierami, rozbitym szkłem, połamanymi przedmiotami użytku domowego. Robota hitlerowskich barbarzyńców, wyładowujących złość nie tylko na ludziach. Resztki obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej zgniecione butem gestapowca zachowałem na pamiątkę. Sterta śmieci pokryta była warstwą lodu. Oczyszczanie mieszkania trwało kilka dni. Mieszkanie składało się z jednego większego pokoju, drugiego małego i kuchni. Charakterystyczną cechą kuchennego lokalu była dziura w suficie z widokiem na gwiaździste niebo. W okresie deszczu trzeba było chronić się pod parasolem. Prawie wszędzie widoczne ślady wilgoci. Panowała też skrajna ciasnota. Część cenniejszych przedmiotów inwentarza domowego trzeba było rozparcelować. Książki przejęli na przechowanie Ahrensowie, futra, dokumenty, albumy, rodzinne pamiątki – Edmundowie Mateccy z ulicy Długiej. Mieszkanie w przybudówce zajmowali Latosowie – starsze małżeństwo z córkami. [...] Trwalszą znajomość zawarliśmy z Zielińskimi, gnieźdzącymi się również we wspomnianej przybudówce przy ulicy Chłopickiego 4. [...] Do nielicznych plusów nowego miejsca zamieszkania zaliczam możliwość częstszego kontaktowania się ze Zbyszkami Nowakowskimi, którzy mieszkali w tym czasie przy ulicy Nakielskiej. Teść był u nas prawie codziennym gościem. Bawił dzieci i fabrykował drewniane zabawki. Pozwalało to moim maluchom trochę zapomnieć o niedostatkach polskiego bytowania. Starsza córka Ewa męczyła się najpierw w szkole powszechnej przy ulicy Świętojańskiej, później Nakielskiej, pokonując trudną dla niej barierę językową. Do dziś brzmią mi uszach słowa piosenki: „Die blauen Husaren sie reiten”. Ewa źle wspominała lata nauki szkolnej w czasie okupacji. Nauczyciele terroryzowali polskie dzieci; na porządku dziennym było bicie trzcina i obrzucanie wyzwiskami. Przy ulicy Świętojańskiej Ewę uczyła młoda hitlerowska fanatyczka Fräulein Janke. Szczególnie pastwiła się nad tymi uczennicami, które miały trudności w przyswajaniu języka niemieckiego. Zwrot „polnische Schweine” w ustach młodej nauczycielki, niestety, nie należał do rzadkości. Kiedyś widziałem ją na boisku szkolnym. Paradowała w żółto-brązowym mundurze kroju wojskowego, na nogach oficerki i nieodłączna trzcinka w ręku. Danke, która przekroczyła również siódmy rok życia, chronił przed szkołą na razie słaby stan zdrowia. Była to jednak kiepska pociecha, bo główną przyczynę jej słabości fizycznej stanowiły fatalne warunki mieszkaniowe i żywienia. Już samo wdychanie karbidu, którego używaliśmy do oświetlania pomieszczeń, wskutek braku nafty, działało szkodliwie na młode organizmy moich dzieci. Chorowały zresztą nie tylko dzieci. Coraz częściej zapadała na zdrowiu moja żona [...]. Pamiętam jej kilkunastodniowy pobyt w szpitalu. W domu odwiedzała nas bezinteresownie polska lekarka Halina Zielińska. Wpisuję ją też na listę osób nam

wielce życzliwych i pomocnych w tych trudnych dniach. Na drobne wspomnienie zasługuje sąsiad z przeciwka, szewc Wilk. Młody, wesoły, jak szpak, usiłował rozweselić moją małżonkę, w której się chyba lekko podkochiwał. Miał jednak zazdrosną żonę, która mu brykać nie pozwalała. Łatał więc buty i pilnował kur treuhändera, taki tytuł posiadał bowiem zarządca nieruchomości. Wilkowie mieli dwoje dzieci w wieku moich córek: syna Zenona i córkę Danutę. Ciężar prowadzenia domu spoczywał nadal na barkach kobiet. Ja odgrywałem rolę raczej drugiego pomagiera. Usprawiedliwiała mnie w pewnej mierze nieobecność w domu wskutek pracy zawodowej. Tak jak wspomniałem, w Kulturamcie, czyli Urzędzie Kultury Rolnej, zatrudniono mnie w połowie stycznia 1940 roku.

Była to nowa placówka w Bydgoszczy, utworzona w grudniu 1939 roku. Nowi władcy potrzebowali natychmiast kilkudziesięciu fachowców; przede wszystkim kreślarzy, geodetów i archiwistów. Tylu reichsdeutsche i volksdeutsche z kwalifikacjami w Bydgoszczy nie było, w związku z czym władze nie miały wyjścia i zaangażowały do pracy głównie Polaków. Po roku działalności Kulturamt zatrudniał 60 pracowników, po dwóch latach już przeszło 80. Zakres zadań Kulturamtu był szeroki: obejmował między innymi scalanie nieruchomości rolnych, kiedy była potrzeba, podziały wspólnot wiejskich, wykup ciężarów realnych i prowadzenie ewidencji gruntów. Politycznym, daleko siężnym celem tej instytucji było uporządkowanie spraw własnościowych i przygotowanie gruntów rolnych pod przyszłe osadnictwo niemieckie na obszarach włączonych do Rzeszy. Zwierzchni nadzór w sprawach dotyczących porządkowania stosunków własnościowych należał do gauleitera Forstera, stąd przy okazji wizyt w Bydgoszczy nie omijał także i tej instytucji. Naczelnikiem placówki był starszy radca rejencyjny dr Alexander Kaufmann. Ja, jako tak zwany pracownik pomocniczy, miałem z nim tylko sporadycznie bezpośrednie kontakty służbowe. Jeżeli miał mi coś do przekazania, robił to za pośrednictwem mojego przełożonego. W Kulturamcie pracowałem przed południem od godziny 7 do 12 i po południu od 14 do 18. Doliczyć trzeba drogę do miejsca pracy przy Gdańskiej 95 (Adolf Hitler Strasse). Dzienna strata czasu z tego tytułu wynosiła przeciętnie ponad dwie godziny. W drodze powrotnej zatrzymywałem się z kolegą biurowym Józefem Kotowskim przed witryną redakcji lokalnego organu prasowego „Deutsche Rundschau” przy ulicy Marszałka Focha, wtedy Hermann Göring Strasse, aby zapoznać się z treścią najnowszego komunikatu z frontu. W dniach, kiedy Niemcom się nie wiodło, wracałem do domu pełen optymizmu. Po wieczery niewiele czasu pozostało na udział w zajęciach domowych. Chodziliśmy spać z kurami, bo nasza karbidówka śmierdziała paskudnie. Nie zawsze prowadziłem opisany tryb życia. Początkowo,

w latach 1940-1941, okradałem potężną Rzeszę hitlerowską systematycznie, przeznaczając znaczną część czasu urzędniczego na cele prywatne. Okazję stanowiły delegacje do sądów w terenie. Wykonywałem tłumaczenia polskich wpisów do ksiąg hipotecznych w sądach w Chojnicach, Grudziądzu, Sępólnie, Świeciu i Tucholi. Pobyt na delegacji trwał przeważnie cały tydzień. Wyniki pracy kazali mi wysyłać pocztą. Z biegiem czasu doszedłem do takiej wprawy, że pięciodniowy program załatwiałem w dwóch dniach. Trzy koperty z góry przygotowane, z tekstami tłumaczeń, wrzucali do skrzynek pocztowych moi lokalni znajomi, każdego dnia w moim zastępstwie. Formalności stawało się zadość, a ja wracałem do domowych pieleszy. Dobre czasy skończyły się, kiedy sądy przestały dopuszczać do korzystania z akt Polaków niewpisanych na volksliście. Sądy stały się dla mnie rewirami zakazanymi. Funkcję tłumacza w Kulturamcie przejął wtedy po mnie mój przedwojenny woźny Błaszkowski. Biedak wpadł, kiedy naśladowując mnie, zorganizował swój pierwszy nielegalny „urlop”. Miałem szczęście, mnie nie kontrolowano i do końca okupacji cieszyłem się niezasłużoną opinią sumiennego pracownika. Kulturamt był jednym z najbardziej polskich urzędów w Bydgoszczy w okresie okupacji. Prawie 70 procent personelu stanowili Polacy, przeważnie nauczyciele, zatrudniani jako rysownicy. Tylko kadrę kierowniczą stanowili reichsdeutsche. W polskich pracowniach kwitło nieróbstwo, sięgające granic sabotażu. Ten sam rysunek był kilkakrotnie przedkładany z różnymi datami wykonania. Nieobecność niemieckich szefów stanowiła okazję do świętowania. Kulturamt, ściśle mówiąc część jego budynku, w którym mieściły się pracownie kreślarskie, przypominał chwilami kasyno gry. Grywano przeważnie w karty lub w cymbergaja. U mnie na parterze, w królestwie akt, odbywały się zebrania, na których omawialiśmy aktualną sytuację polityczno-militarną i układano prognozy przyszłościowe.

Tu chyba pierwszy raz w życiu uświadomiłem sobie, że staję się autorytetem dla wielu towarzyszy okupacyjnej niedoli. Dzielili się ze mną troskami publicznymi i prywatnymi. Cieszyłem się ich pełnym zaufaniem. Przy tej okazji poznawałem kulisy polskiego ruchu oporu, który posiadał w Kulturamcie wpływowych przedstawicieli. Pomagałem im w ramach skromnych możliwości i zdrowego rozsądku. Nie wszystkie pomysły bydgoskiego szefa AK, przedwojennego starosty i endeka, budziły mój zachwyt. Wizję przyszłej Polski kształtowałem inaczej, mimo moich zdecydowanie prołondyńskich sympatii. Wspominam o tym na marginesie okupacyjnego życia rodzinnego. Z przemyśleń w patriotycznej atmosferze bydgoskiego Kulturamtu wyrastało bowiem moje zaangażowanie w ruch społeczno-polityczny w Polsce powojennej. W kalejdoskopie wydarzeń widzę wyraźnie pewną noc lipcową 1941

roku, spędzoną w Kulturamcie. Działo się to krótko po wybuchu wojny ze Związkiem Radzieckim, przy końcu czerwca 1941 roku. Z obawy przed spodziewanymi nalotami, bydgoskie zakłady pracy otrzymały nakaz zorganizowania nocnych dyżurów. W naszym biurze Niemcy nie kwapili się do pełnienia nocnej służby i obarczali tym obowiązkiem prawie wyłącznie Polaków. Widocznie traktowano to „wyróżnienie” jako swoisty kredyt zaufania w ramach badań sondażowych możliwości wykorzystania antagonizmów polskorosyjskich do własnych celów w polityce narodowościowej. Nie potrzebuję tu podkreślać, że eksperyment ten nie miał szans powodzenia. Dla nas wrogiem numer jeden pozostawała Rzesza hitlerowska – starcie dwóch potęg powitaliśmy jako zapowiedź odzyskania niepodległości. Należałem do grupy pracowników, którzy zainaugurowali wspomniane dyżury. W grupie było kilkunastu Polaków i tylko jeden Niemiec, lokalny volksdeutsch. Po wypiciu znacznej ilości alkoholu, zaaplikowanego mu przez wytrawnych polskich pijusów, nasz Niemiec leżał zalany w pestkę. Dla nas rozpoczął się wieczór polskich kawałów i polskich piosenek. Dobrze po północy, kiedy chyba po raz dziesiąty rozległa się pieśń nadziei: „Choć burza huczy wokół nas...”, dotarły do nas odgłosy łomotania do drzwi wejściowych od strony ulicy. Niedobrze! W przezwach między łomotaniem słychać było okrzyki: Polizei, aufmachen! Jakimś cudem udało się pijanego Niemca postawić na nogi, sprowadzić po schodach na parter i wepchnąć w objęcia policjantów. Niemiec zademonstrował stróżom porządku publicznego hitlerowską gapę członka partii, resztę zaś załatwił nasz kolega Zygfryd Sulecki, posługując się nienagannym akcentem berlińskim. Pretensje policjantów ograniczyły się zresztą głównie do starannego opuszczenia verdunklung, czyli zaciemnienia okien ciemną papierową żaluzją, przez którą poprzednio przebijało światło.

W Kulturamcie widywałem urodzonego w Bydgoszczy szefa bydgoskiego gestapo SS Obersturmbahnführera Karla Heinza Ruxa. Odwiedzał tutaj swoich kumpli – wizyty były suto zaprawiane alkoholem; na początku opijali zwycięstwa, później pewnie porażki. Kiedyś Rux wychodząc z Kulturamtu, był to bodaj maj 1944 roku, podszedł do mojego biurka, wyciągnął z kabury pistolet i zaczął się nim demonstracyjnie bawić. Tego dnia był pod bardzo dobrą datą – wyczuwałem mocną woń alkoholu. – Ty jeszcze żyjesz Esman, dziwne? – powiedział. Musimy to naprawić – wybełkotał i odszedł chwiejnym krokiem. Wtedy ostatni raz widziałem Ruxa. W sierpniu 1944 roku skierowali mnie na Einsatz, pod Aleksandrów Kujawski. Pod koniec 1941 roku Kulturamt delegował mnie do prac porządkowo-inwentaryzacyjnych prowadzonych w moim przedwojennym zakładzie pracy, przemianowanym na Oddział Gdańskiego Archiwum Rzeszy w Bydgoszczy. Praca na pewno dla mnie znacznie

ciekawsza niż w Urzędzie Kultury Rolnej, ale ogólna atmosfera była tam nie do zniesienia. Kierownik placówki – dr Adalbert Hahn był fanatycznym hitlerowcem, typowym przedstawicielem narodu panów. W Archiwum stosowano w stosunku do nielicznego polskiego personelu pomocniczego maniacki terror psychiczny. Znalazłem się w kręgu podejrzanych. Byłem więc rad, kiedy w drugiej połowie 1942 roku wstrzymano szeroko zakrojone prace inwentaryzacyjne i odwołano mnie z delegacji. W Kulturamcie powierzono mi nowe stanowisko referenta przy wycenie urządzeń i płodów rolniczych. Uśmiełem się z tej nominacji serdecznie. Dziś patrzę na ten dziwny urząd z drobną dozą sentymentu. Kulturamt był wprawdzie częścią maszyny germanizacyjnej Trzeciej Rzeszy na ziemiach polskich, ale w jego składzie personalnym znaleźli się Niemcy, których nie można było nienawidzić. Zaliczam do nich bezpośrednich przełożonych: inspektora mierniczego Paula Tolksdorfa, później po jego śmierci w 1942 roku, inspektora rejencyjnego Ericha Nebla. Obaj prawie demonstracyjnie podkreślali prowizorium swego pobytu w polskiej Bydgoszczy. Nebel, wchodząc do pokoju, miał zwyczaj, niby to żartem, pukać do swoich drzwi. Kiedyś powiedział mi, dlaczego to robi. – Żyjemy w parszywych czasach, lepiej być ostrożnym, panie Esman. Ale parszywe czasy kiedyś się skończą, pewnie dla pana lepiej? Z myślą o nich, mimo negatywnego stosunku do okupantów, nazwałem w 1945 roku tworzoną bydgoską placówkę badającą zbrodnie wojenne nazistów – Wojewódzką Komisją Badań Zbrodni Hitlerowskich, a nie, według obowiązującej wówczas terminologii – „Zbrodni Niemieckich”.

Nawiązane kontakty i znajomości miały charakter ściśle osobisty. Ich wpływ na kształtowanie się atmosfery towarzyskiej w naszym domu był minimalny. Trwalsze korzenie miała tylko znajomość z Tobolskimi (Stefan Tobolski był kreślarzem), którzy stanowili w czasie okupacji parę narzeczeńską. Różne były przyczyny izolacji między moim życiem w zakładzie pracy a życiem rodzinnym. Między innymi zaważyła potrzeba ograniczenia płaszczyzny kontaktów towarzyskich ze względu na niebezpieczny charakter moich powiązań z ruchem niepodległościowym. Przypadki stosowania odpowiedzialności zbiorowej zdarzały się bowiem dość często. Wasza matka bała się panicznie wszystkiego, co mogło zamącić spokój domowego ogniska. Zdarzało się, że w czasie spacerów usiłowała salwować się ucieczką, kiedy jej zdaniem zbyt głośno mówiłem po polsku. Sama jednak do końca okupacji nie nauczyła się prawidłowo mówić po niemiecku.

Tylko miłość do kina potrafiła przełamać jej strach przed Niemcami. Udając Niemkę, chodziła od czasu do czasu do kina na filmy przeznaczone tylko dla Niemców. W mieście obowiązywał zakaz używania języka polskiego w miejscach publicznych. Po polsku mówiło się na ulicy tylko w gronie ro-

dzinnym i z dobrymi znajomymi. Za używanie języka polskiego na ulicy groziło pobicie przez niemieckich przechodniów. Jeżeli kogoś zadenuncjowano za mówienie po polsku, mógł nawet trafić na gestapo. Jedynym, jak mi się wydaje, miejscem publicznym, gdzie mówiono otwarcie po polsku, był cyrk. Właściwie nie wiem, dlaczego w cyrku ludzie czuli się pewniej i swobodniej, a Niemcy nie reagowali na polskie słowo. Do cyrku chodziłem z dziećmi, kiedy tylko była okazja. Kiedyś naraziłem się na gniew mojej małżonki, sadzając Janusza na trąbę ospałego słonia z cyrku „Kronego”. Słoń kołysał go majestatycznie w lewo i prawo, do momentu aż zdenerwowana matka zdjęła go z trąby.

W kwietniu 1944 roku wylądowała w gronie rodzinnym najmłodsza Esmanówna, nazwana Hanną, nosząca pseudonim „Kruszynka”. Oj, kruche to było! Urodziła się w czasach fatalnych dla polskich dzieci. Brakowało prawie wszystkiego, czego potrzebuje niemowlę. Kruszynka chorowała prawie nieustannie, ale trzymała się uparcie trudnego życia. Biedne serce matki żyło w nieustannej rozterce między rozpaczą i nadzieją. Troski i obawy piętrzyły się w miarę, jak klęska Niemiec hitlerowskich zbliżała się coraz wyraźniej. Czy groźna machina wojny przyniesie nas przed wyzwoleniem? Wyzwolenie szło od wschodu. Należałem do nielicznych bydgoszczan, którzy przewidywali możliwość kierunku wschodniego. Większość ludzi nadal wierzyła w starych sojuszników: Anglię i Francję, później też w Amerykę. Wasza matka też prawie do końca była przekonana, że Polskę wyzwolą Tonis, jak mówiło się na Anglików.

W czerwcu 1944 roku zmobilizowano prawie wszystkie załogi bydgoskich zakładów pracy do budowy fortyfikacji obronnych. Czekaliśmy na podróż w nieznaną, skąd, jak twierdzili pesymiści, nie będzie powrotu. W przeddzień wyjazdu odbyła się w naszej intencji msza w kościele św. Trójcy. Znajomy ksiądz wypowiadał nas, kulturamtowców w zakrystii w języku polskim. Była to moja pierwsza spowiedź od czasu, kiedy wygnano słowo polskie z kościołów katolickich. Podróż na „Einsatz” zakończyła się w Otłoczynie pod Aleksandrowem Kujawskim. Okolica ładna, wzgórze, parowy, lasy. Pracowników Kulturamtu zakwaterowano w obszernych zabudowaniach leśniczówki w Popiołach. Prawdę powiedziawszy bałem się pracy fizycznej, do której nie przywykłem, ale czekało mnie przyjemne rozczarowanie. Praca polegała głównie na kopaniu rowów przeciwczołgowych. Wymagania naszych nadzorców miały wymiary skromne. Nikt się tu nie przepracowywał: ani Polacy, ani tym bardziej Niemcy. Być może właśnie z uwagi na obecność Niemców, którzy przybyli tu, aby ratować ojczyznę możliwie najmniejszym wysiłkiem fizycznym. Chwilami odnosiłem wrażenie, że w Popiołach panuje nastrój majówki – świeże powietrze, piękna na ogół pogoda, racje żywnościowe ciężko pracujących –

podwójne. Apetyty dopisywały, przy kuchniach polowych tłoczono się w oczekiwaniu na repety – słowem Eldorado – w porównaniu z bydgoską mizérią domową. Przede wszystkim cenilem tu swobodę językową. Rozmawialiśmy i śpiewaliśmy po polsku, i w domu, i w marszu do pracy. Niemcy jak gdyby zamilkli. W sierpniu przeżyliśmy niezapomniane wzruszenie, kiedy wysoko nad naszymi głowami szybowała liczna eskadra samolotów alianckich niosących pomoc walczącej Warszawie. W obozie spotkałem też Holendra, którego poznałem kiedyś u naszych sąsiadów Latosów. Holender był solistą bydgoskiej operetki w czasie okupacji. Należał podobno do ruchu oporu. Był to bodajże sierpień 1944 roku. Czerpałem właśnie wodę ze studni na podwórzu leśniczówki w Popiołach, kiedy za sobą usłyszałem gwizdaną melodię „Jeszcze Polska nie zginęła”. Gwizdał pod moim adresem – dzielny Holender. Odgwizdałem melodię, tak jak umiałem, i przez pewien czas gwizdaliśmy wspólnie.

Dobre czasy skończyły się bodajże w listopadzie 1944 roku, kiedy „naszych Niemców” wcielono do Volkssturmu i wycofano z Einsatzu. Z ciepłej wylegiatury w leśniczówce trzeba było przenieść się do tandetnych, chłodnych baraków fińskich położonych poniżej zabudowań mleczarni, gdzie lożowaliśmy razem z jeńcami włoskimi. Włosi, wiadomo – towarzystwo rozgadane i rozśpiewane. Do zdekompletowanej grupy pracowników Kulturamtu wcielono liczne grupy pracowników, przeważnie robotników zawodowych, nawykłych do ciężkiej pracy fizycznej. Patrzyli oni krzywo na nas, inteligentów. W szykanach wyróżniał się pewien ponury drab – Hucuł, prezentujący wyraźnie antypolskie nastawienie. Wymagania dozorców rosły, normy śrubowano. Zaczęto stosować terror, jak w karnych obozach pracy, posłuszeństwo egzekwowano pistoletami. Gdyby nie wiara w bliskie wyzwolenie, załamałbym się. Na duchu podtrzymywały mnie częste kontakty z domem. Dwukrotnie w ciągu pół roku korzystałem legalnie z urlopów, częściej jednak wymykałem się z obozu nielegalnie, w soboty i niedziele. Ostatnią podróż bez przepustki z Aleksandrowa do Bydgoszczy odbyłem w wieczór wigilijny. Był lekki przymrozek. Jechałem na stopniach wagonu osobowego z własnoręcznie wyciętą choinką. W domu radość nie do opisania. W okresie letnim odwiedzały nas od czasu do czasu, przeważnie w niedzielę, nasze żony, narzeczone i córki. Ja też witałem z radością moją Marylkę i małą Ewę. Niezapomniane chwile. Obozowe władze patrzyły na te nielegalne wizyty przez palce, ale wyściczkami zainteresowała się, niestety, bydgoska policja i pod pozorem przekroczenia godziny policyjnej zabrała pewnego razu wracające towarzystwo do aresztu. Wśród zatrzymanych znalazły się moje wylęknione i zapłakane ptaszyny. Na szczęście znalazła się wśród groźnych policjantów jakaś litoś-

ciwa dusza i po dwóch godzinach wypuściła je na wolność. Reszta musiała siedzieć do rana i płacić grzywnę. Wizyty skończyły się. Kilka tygodni później zakończył się mój pobyt w obozie.

Początek styczniowej ofensywy wojsk radzieckich i polskich zwiastowało nam w Popiołach głucho dudnienie dział. Na południowym zachodzie rozlała się na niebie wielokilometrowa łuna. Wylegliśmy na dziedziniec młeczarni, zafascynowani groźnym, ale dla Polaków jakże radosnym fajerwerkiem. Obok mnie stał nasz niemiecki poganiacz Gehrke. Szepnąłem mu do ucha po niemiecku: „Panie Gehrke, czas pakować manatki”. Obruszył się, grożąc konsekwencjami. Jednak po dwóch dniach, kiedy szosa pokryła się tłumami uciekających Niemców, posłusznie zameldował się u mnie z wiadomością, że wyjeżdża do Bydgoszczy. Dałem mu kartkę pisaną po polsku z doniesieniem o ofensywie i rychłym powrocie do domu. Gehrke znał trochę język polski, ale niebezpieczną kartkę doręczył sumiennie. Może liczył na protekcję, wbrew instynktowi samozachowawczemu pozostał bowiem w Bydgoszczy. Po kilkunastu dniach spotkałem go w wyzwolonym mieście na ulicy Dworcowej. Szedł w towarzystwie kolegi Kotowskiego do koszar na ulicy Warszawskiej, w których mieścił się obóz dla internowanych Niemców. Nie uprzedzając wydarzeń, wracam myślą do Popiołów. Dla nas, „kulturamtowców”, nastąpiły czasy gorączkowego finalizowania przygotowań do planowanej ucieczki. Pośpiech był konieczny, otrzymaliśmy bowiem poufną informację, że Niemcy zamierzają nas wysłać do odgruzowywania Berlina. Dziewiętnastego stycznia skorzystaliśmy z zamieszania wywołanego nalotem na nasze mizerne fortyfikacje. Klucząc w zaroślach, udało się nam przechytryć straż obozową, która usiłowała zablokować główną arterię komunikacyjną. Po kilkunastu minutach znalazło się kilkudziesięciu właścicieli dziwnie skonstruowanych sanek poza zasięgiem wzroku strażników. Wśród nich około dwudziestu kolegów z Kulturamtu. Odyseja ucieczki wiodła początkowo trasą w kierunku Gniewkowa, później przez pola minowe w okolicy Przyłubia, do Solca Kujawskiego i do Bydgoszczy. Pomijam szczegóły dramatycznego wyścigu z Armią Czerwoną, która – jak nam się wydawało – dotarła już do naszego miasta. Dwudziestego stycznia wieczorem przekraczałem most na Brdzie. Po kilku godzinach wysadzono ten most w powietrze. Około 11 wieczorem, ze zdobycznym garnkiem miodu i dobytkiem wiezionym na sankach, dotarłem piekielnie zmęczony, ale szczęśliwy do swoich. [...] Prócz miodu przywiozłem krzepiące wieści o ucieczce władz cywilnych okupanta i generalnym odwrocie wojsk niemieckich. Seria detonacji, identyfikowana z wysadzaniem mostów na Brdzie, utwierdziła nas w przekonaniu, że wolność jest tuż, tuż. W rzeczywistości czekało bydgoszczan jeszcze kilka dni pełnych napięć i trwogi. Zwycięski pochód armii ra-

dzieckiej i – jak się później okazało – jednostek polskich, próbowała zatrzymać zbieranina policji, volkssturmu i drobnych oddziałów cofających się rozbitków wielkiej niegdyś armii. Ostatnie dni i noce spędziliśmy z sąsiadami w piwnicy sąsiedniej kamienicy na stosach węgla. Do domu wracaliśmy, kiedy uspakajała się strzelanina i trzeba było nakarmić dzieci. Śmierć groziła ludziom stojącym w kolejkach za chlebem. Cudem uniknąłem jej, kiedy podczas czerpania wody z pompy na sąsiednim podwórzu pękł szrapnel. Odłamki posypały się zaledwie kilka centymetrów ode mnie. Wreszcie nastąpiła długo oczekiwana chwila. Rychłym rankiem umilkła strzelanina. Wokół zaległa prawie idealna cisza. Wyszliśmy z sąsiadem Zielińskim ze schronu, aby zorientować się w sytuacji. Śnieg padał gęsto, ograniczając widnokrąg. Nagle usłyszeliśmy odgłos skradających się kroków z lewej strony ulicy Nakielskiej. Spojrzeliśmy zaintrygowani. Zza węgla wychyliły się dwie rosyjskie papachy. Z radosnym okrzykiem rzuciliśmy się w ich kierunku. Jeden właściciel papachy mówił po polsku, ale na rozmowę nie było czasu. Naszych wybawców interesowała tylko odpowiedź na pytanie, czy w pobliżu są Niemcy. Pobiegliśmy do naszych najdroższych z radosną wiadomością. Sprawiedliwości dziejowej stała się zadość – odzyskaliśmy wolność, chociaż walki toczyły się jeszcze w innych częściach miasta. Moje panie otrzymały pierwsze zadanie bojowe – z resztek pościeli zrodziła się nasza utęskniona biało-czerwona. [...]

Wybór i opracowanie: Janusz Esman i Marek Romaniuk